



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

**Turcy pod Wiedniem : opowiadanie historyczne z czasów
oblężenia Wiednia przez Turków w r. 1683.**

Liczba stron oryginału

100

Liczba plików skanów

100

Liczba plików publikacji

101

Sygnatura/numer zespołu

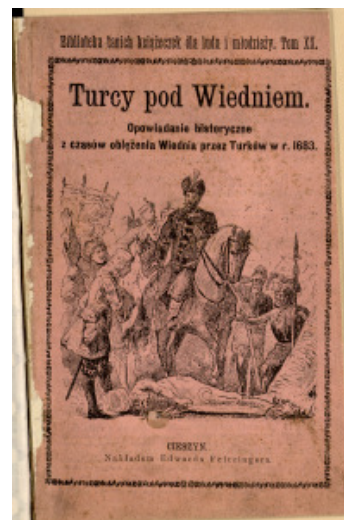
KD I 04176

Data wydania oryginału

[1888]

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



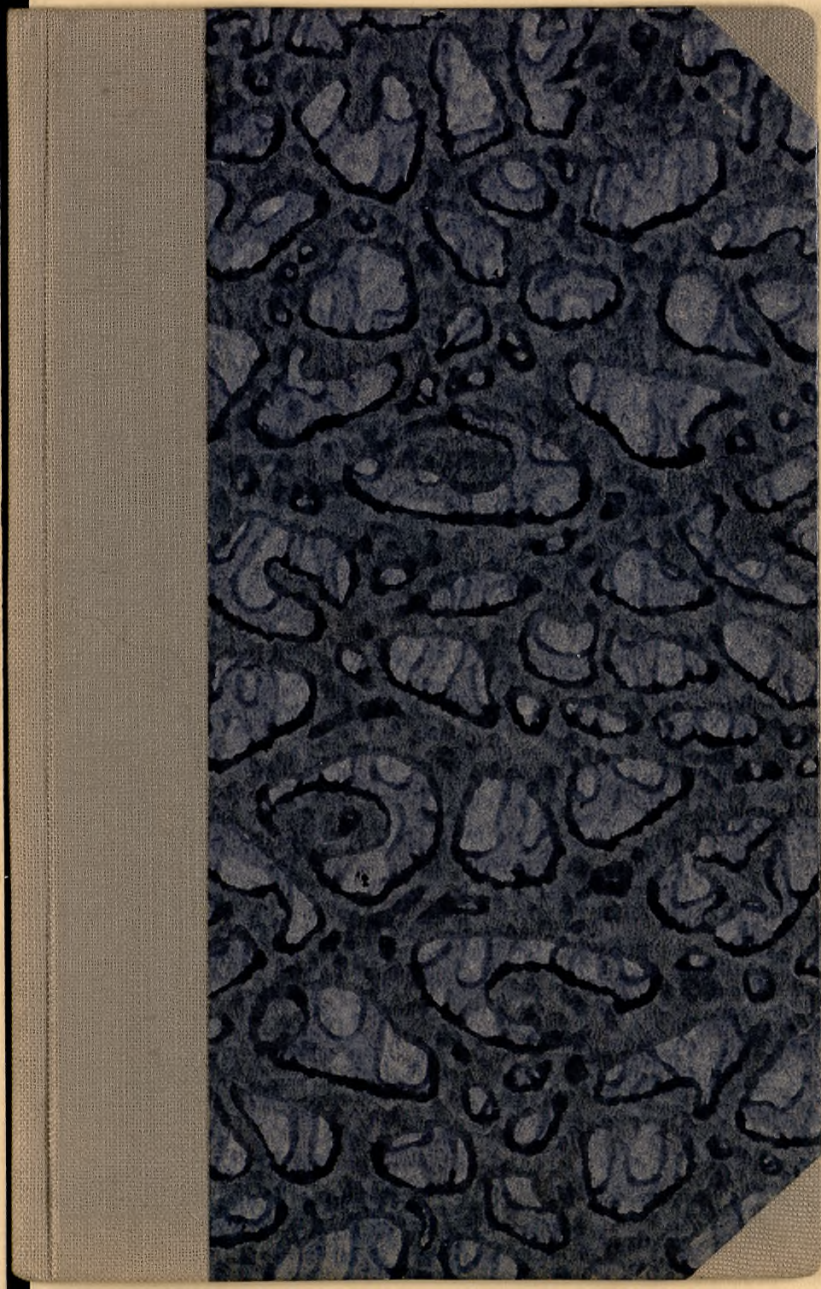
**Fundusze
Europejskie**
Program Regionalny



Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego











Biblioteka tanich książeczek dla ludu i młodzieży. Tom XX.

Turcy pod Wiedniem.

Opowiadanie historyczne
z czasów oblężenia Wiednia przez Turków w r. 1683.



CIESZYN.

Nakładem Edwarda Feitzingera.

Nakładem Edwarda Feitzlingera w Cieszyńie (Szląsk austr.

wyszły i są do nabycia
następujące pięknie drukow. i ilustracyami ozdobione dziełka p. t.

„Biblioteka tanich książeczek dla ludu i młodzieży“.

Cena każdego dziełka tylko 20 ct. = 35 Pf., pod opaską 22 ct

Przy poprzednim nadesłaniu należytości najmniej za 10, lub za wszystkie tomiki razem, nastąpi przesyłka franko.

Tom 1. *Abelino, straszny bandyta*. Powieść z dziejów Wenecyi.

Tom 2. *Córka sybirskiego wygnańca*. Powieść z ni dalekiej przeszłości.

Tom 3. *Jadwiga, oblubienica bandyty*. Powieś osnuta na tle dramatu Knera.

Tom 4. *Jan Okpiświat* (zwany Sowizdrzałem), słynny swego czasu trefniś; jego figle i awantury. Powieść komicka ku rozweseleniu czytelników.

Tom 5. *Krzysztof Kolumb, czyli odkrycie Ameryki*. Opowiadanie dla ludu.

Tom 6. *Losy Genowefy*. Ciekawa i wzruszająca historia dla dojrzałej młodzieży i dla wszystkich, osobiście nieszczęśliwych i zasmuconych jako źródło pociechy i wzór, godny naśladowania.

Tom 7. *Młynarz i jego dziecko, czyli wędrówka ducha* w nocy Bożego narodzenia.

Tom 8. *Przygody Robinzona Kruzoe na morzu i na lądzie*. Bardzo ciekawa i pouczająca historia dla młodzieży i dorosłych.

Tom 9. *Piękna Meluzyna*. Cudowna historia o Panu morskim i jej walecznem potomstwie.

Tom 10. *Trzy piękne młynareczki w rękach krwawego rabusia*. Zdarzenia prawdziwe z przeszłego stulecia.

Tom 11. *Zamurowana dziewczyna*. Powieść osnuta na tle aktów sądowych z bieżącego stulecia.

Tom 12. *Życie i czyny Rynalda Rynaldyniego*, słynnego dowódcy opryszków. Romantyczne opowiadanie z przeszłego stulecia.

Tom 13. *Straszny niewiastobójca Hugo Schenk i jego wspólnicy*. Dokładna historia ich życia i wszystkich morderstw, jakoteż ostatecznego losu i stracenia. (Z obrazkami).

Tom 14. *Ofiara intrygi cioci*. Obrazek z życia oficyałów w Galicyi i — *Rabin cudotwórca*. Nowela. Obie napisane Jul. Ant. Łukasziewiczem.

Tom 15. *Kochaj swój obrządek!* Obrazek z życia ludu we wschodniej Galicyi. Napisał Jul. Ant. Łukasziewicz i — *Krzyżacy i ich następcy*. Napisał Francisz. Kozdłowski.

Tom 16. *Mistrz Twardowski*. Bardzo ciekawa, zajmująca i wesoła historia o sławnym polskim czarnoksiężniku. Spisana wiernie podług podań ludowych i starych zabytków piśmiennych.

Tom 17. *Książę Aleksander Menżykow, albo przygody paszteciarza*. Zajmująca i pouczająca powieść dla młodzieży i starych.

Turcy pod Wiedniem.

Opowiadanie historyczne

z czasów

oblężenia Wiednia przez Turków w r. 1683.



CIESZYN.

Nakładem Edwarda Feitzingera.



KD I 4176

KD 4176

I.

Ciężkie, groźne chmury wojenne zebrały się w r. 1683 nad austriackimi krajami. Po raz trzeci nadciągali Turcy pod piękne stołeczne miasto Wiedeń, które ostatni raz oblegali w r. 1529. Iskra wojennego pożaru roznieciła się na Węgrzech. Węgrzy powstali przeciwko cesarskiemu rządowi, gdyż ten wzbraniał się przyzwolić na ich liczne prośby i żądania, i połączyli się z Turkami, starym nieprzyjacielem Austrii i chrześcijaństwa. Na czele węgierskiej rewolucyi stał hrabia Emeryk Tökely, uznany przez sułtana Mohameta IV., za króla środkowych Węgier. Ten zasilił armię turecką znakomitą swoją konnicą. Kraje niemieckie krwawiły jeszcze z ran wojny trzydziestoletniej, a książęta ich znowu byli w wzajemnym nieporozumieniu. Na granicy zachodniej czychała Francya dogodnej sposobności, by chciwą swą rękę wyciągnąć na terytoryum niemieckie. Król Ludwik XIV. podbudzał do wojny Węgry i Konstantynopol a sułtana zaopatrzył potężną artylleryą. Wprawdzie znajdowało się w radzie sułtańskiej wielu rozumnych i doświadczonych mężów, którzy rozpoczęcia wojny odradzali wytrwale, jednak potężny wielki wezyr Kara Mustafa stał na czele partyi wojennej i przedłożył swój plan sułtanowi, według którego z wielką łatwością miano zdobyć Wiedeń, a témsamem miano osiągnąć klucz do Czech, Morawii i całych wschodnych Niemców.

Cesarz Leopold I., który wówczas na tronie austriackim zasiadał, byłby chętnie zachował spokój, lecz sułtan nałożył nań brzemię tak niemożliwych warunków, że musiał je stanowczo odrzucić, dając w ten sposób także hasło do boju. Austriacka armia w porównaniu z turecką była bardzo słaba. Po oddzieleniu oddziałów, które musiały czuwać nad bezpieczeństwem Raab, Komorna i Leopoldstadtu, zostało się w stolicy jeszcze 12.000 piechoty i 11.000 jezdnych, więc razem ludzi 23.000. Przeciwko téj garstce stawiał sułtan 200.000 ludzi z 300 armatami. Prócz tego było w obozie 60.000 męskiej służby, pilnującej prowiantu, 10.000 wozów, 2000 wielbłądów, wiele słoniów i całe tabuny bydła. W tak potężnej sile parli Turcy na Wiedeń. Aż do Adrianopola dowodził armii z sztandarem Mahometa proroka, sam sułtan a do armii jego przyłączyli się jeszcze: han tatarski z Krymu, książę Siedmiogrodu, hospodar mołdawski i książę wołoski.

My wszakże, kochany czytelniku, poprzedzimy cokolwiek Turków, przenosząc się w mglisty czerwcowy poranek do jednego z mniejszych tz. »werków« polnych pod Wiedniem. Ognie strażnicze były rozpalone, a załoga cała spoczywała jeszcze w śnie pogrążona. Jeden tylko młody strzelec czyli »arkebusjer« stał na wystającym rogu szanca, wsparty na lawecie armatniej, oczyma i uszami uważnie czegoś badając. Spoglądał przez białą mgłę, która tam w dole nad brzegami Litawy lekkie swe roztaczała skrzydła, jakby chciał ją przedrzeć swym sokolim wzrokiem; to znowu przykładł do ziemi uszy i zdawało mu się, jak gdyby słyszał odległy tętent olbrzymiej konnicy i głośnie komenderowanie. Wreszcie podniósł się wiatr i mgłę

rozpędził. Równocześnie wynurzyły się z niej kościelne wieże rozlicznych wiosek doliny, która również w całej swój malowniczości odsłoniła się przed okiem widza. Na dolinie téj, pomiędzy dwiema wioskami, sokole oko uważnego strzelca rozeznało liczny zastęp konnicy w turbanach na głowie, z złożonymi lancami i zakrzywionym kordem przy boku, który spuszczał się ku laskowi nad Litawą. Na widok téj dawno oczekiwanej forpocztą nieprzyjacielskiej, młodemu strzelcowi zawrzała krew w żyłach jak ogień gorąca. Wioski i folwarki dokoła spoczywały jeszcze w niezamąconym spokoju, a w kilka godzin później miały może kapać się w krwi i płomieniach, mężowie porwać się do zardzewiałego oręża, kobiety i dzieci wystawić się na pastwę i hańbę nieprzyjaciela. Nagle zabłysło oko strzelca śmiałym postanowieniem. Turcy nie mogli i nie powinni przejść w dół całą rzekę, on chciał im ochotę do tego odebrać.

Konrad — tak nazywał się nasz młody wojak — odłożył szybko na bok swą strzelbę, wyjął nabój z tylnej skrzyni armatniej, nabił lawetę i skierował ją na ten punkt przeciwnego brzegu Litawy, gdzieby Turcy daremnie przejść usiłowali. Wszystko przygotował szybko i znakomicie, bo chociaż właściwą jego bronią była strzelba a nie armata, przecież i na artylleryjskiej sztuce znał się doskonale. Nie trwało długo, jak dwóch jeźdźców przyskoczyło do nadbrzeżnego lasku. Ale za ledwie powstrzymali swe konie, zagrzmiął straszny ryk działa, a za nim dzikie wycia nad brzegiem rzeki w dolinie. A można sobie wyobrazić, jak skoczyli na nogi wszyscy śpiący we »werku«.)

*) W e r k, techniczne wyrażenie, oznaczające rodzaj podziemnej kasarni, czyli szańcu.

»Turcy! Turcy!« krzyczało wszystko w wielkiem zamieszaniu, podczas gdy Konrad powtórnie już działo nabijał. Zanim rozmarzeni jeszcze snem czescy artylerzyści przyszli całkowicie do siebie, zaryczał drugi strzał ze szanica w dolinę, a na dole wzniósł się powtórny dziki hałas nieprzyjaciela. Kiedy opadł biały obłok z prochu, można było dostrzec cały oddział Turków w dzikiem zamieszaniu rzucający się do ucieczki, a u brzegów pozostawiony tabór z końmi i wielbłędami, w samych zaś falach Litawy dziesiątki wojowników zabitych lub rannych, walczących jeszcze ze zbliżającą się śmiercią. Kiedy już w wioskach sąsiednich ozwały się dzwony na alarm, a Konrad po raz trzeci działo nabijał, przybiegł gruby kapitan Sztucberger z oficerskiego baraku. »Łotrze! oślepy szwabie! przeklęty! — zawrzeszczał nad niepowołanym artylleryzystą — czy diabła masz w swém cielsku?«

»Nie! panie kapitanie — odrzekł Konrad spokojnie — podsmoliłem tylko trochę barbarzyńskim jeźdźcom, tam w dole!«

»Do milion elementów! — krzyczał dalej rozogniony kapitan — czy nie wiesz, że za pierwszy bezpożyteczny alarm, za pierwszy zawczesny strzał armatni, czeka kara śmierci? —

»Ale ileżby to ludzi było niewinnie wymordowanych — rzekł Konrad — gdyby nieprzyjaciołom udała się przeprawa!«

»Milcz i słuchaj! — krzyknął kapitan. — Obowiązkiem twoim było zameldować mi o przybyciu Turków, a wtedy ja byłbym zameldował dalej do pana oberszta, który stoi kwaterą w Trautmansdorfie, a ten dopiero rozstrzygnąłby ostatecz-

nie, co czynić należy. Ot, taki jest porządek, takie prawo!»

Kapitan wysłał natychmiast jednego z żołnierzy do kwatery oberszta, aby zawiadomił go o stanie rzeczy.

»Życzylbym sobie, zaprawdę — rzekł dalej kapitan — abyś na miotle jakiej wyleciał w powietrze, bo nie potrzebowałbym jednego z najlepszych moich żołnierzy okuć w żelaza. Czyś nie przypomniał sobie, o człowieku, że za taką insubordynację czeka cię kara śmierci?

»Niech mię to i głowę kosztuje — odrzekł najspokojniej Konrad — jeżeli to tylko jest zaca śmiercią żołnierza.« W duchu jednak myślał: »Muszą przecież w radzie wojennej zasiadać bardziej rozumni ludzie, od tego oficera, który to głupie rozporządzenie zalecił!«

Na rozkaz kapitana feldwebel od artylleryi czyli tz. feuerwerker, założył na ręce strzelca kajdany a w godzinę później przybyło dwóch kirasjerów z Trautmannsdorfu, by pojmanego odstawić. Droga, którą jeniec w towarzystwie swęj straży miał przebyć, była długa; gdyż miał być odesłanym do wojskowego więzienia w Rotenthurm. Gościńce roily się od tłumów uciekających, pieszych, konnych i na wozach, którzy przybywali z stron południowych by schronić się w obwarowanej stolicy. Im więcj zbliżali się do miasta, tém gęściejszymi stawały się tłumy uciekających; na przedmieściach ludność pakowała swój najniezbędniejszy dobytek, by stąd odejść, a skryć się poza wałami wewnętrznej części miasta. Tu stali ludzie w gęstych szeregach, którzy nie mogli znaleźć miejsca, ukryć się choćby pod prostym dachem. W końcu osiągnięto Rotenthurmu, jeniec

został przez dwóch kirasjerów oddany w ręce tamecznej władzy, a za chwilę zamknęły się za nim ciężkie żelazne drzwi aresztu. Chociaż łagodnie i względnie zakomunikował wiadomość o strzelcu kapitan Sztucberger, to przecież czyn Konrada nie mógł być zamilczanym, że wystrzelił wielkie działo szanćowe, postępując wbrew wojskowemu porządkowi. Śledztwo przeprowadzało dwóch pisarzy, głowy nadzwyczaj ograniczone. Wyżsi urzędnicy wojskowi, którzy właściwie sprawę tę na siebie wziąć winni, byli obecnie ważniejszymi zajęci sprawami, a głównie myśleli o ocaleniu majątków swych i rodzin. Pisarze zajmowali się zwykle tylko ordynarnymi żołnierzami, którzy przekroczyli kradieżą lub płądrowaniem. Z nimi nie czyniono sobie ceregieli; było dosyć, aby świat od nich uwolnić; tacy więc zwykle skazywani byli na taniec szubieniczny. Do téj sorty bez dalszych badań zaliczono także i Konrada. Wygodni panowie pisarze nie zechcieli sobie nawet zadać tyle trudu, by sprawę jego dokładnie rozpatrzyć, dość im było tego, że im został do osądzenia oddany, by wyrok swój wydać. To téż gdy po kilku dniach podano mu protokół do podpisu, Konrad oparł się temu, gdyż główną rzecz, tj. własną jego obronę i tłumaczenie się, w nim pominięto.

»Czy to tam jest lub nie jest powtórzone w protokóle, to wszystko jedno — odrzekł jeden z pisarzy. — Przecież tu człowiek nie ma czasu, całą rzecz przeglądać. Pan oberszt-wachmistrz z Tieftrunk wyda wyrok, rada wojenna go potwierdzi, a wtedy albo będziesz musiał biec przez różgi, albo zostaniesz oddany ojcu Euzebiuszowi, by cię przygotował do niebieskiej podróży, zanim ci kat

stryczek na szyi zakręci. Tak kochanku, teraz wiesz, co cię czeka!» Przytém surowy pisarz dał znak pacholkowi więziennemu, a ten popchnął jeńca naprzód przed sobą.

Do ciemnej celi więziennój, przez otwór gęsto zakratowany, dochodził zaledwie słaby odbłysek słonecznego światła. Morawscy grenadjeryzy trzymali straż przy wejściu, coraz nowych przyjmując skazańców. Byłito ludzie zdiczali, wielu z nich brało udział w pierwszych potyczkach, przebrani, bądź po stronie tureckiej, bądź po węgierskiej. Byli więc nietylko dezterterami z cesarskich regimentów, ale i zdrajcami. Wszyscy schodzili się do jednej wielkiej izby, a stamtąd dopiero rozlokowywano ich w oddzielne celki. Konrad także dostał się w ten tłum rozbestwiony i z obrzydzeniem odwrócił się od niego, patrząc ze smutkiem przez kraty okna na szare i chmurne niebo. Tak czekać musiał w towarzystwie tych łotrów dopóty, dopóki wachmistrz nie wyznaczył mu numeru celi.

Kiedy Konrad spojrział na zielony wał, na którym błyszczała rosa blaskiem dyamentów, smutno zrobiło mu się w duszy. Myśl, że utracił wolność, i że zginie wkrótce nędzną śmiercią, doprowadzała go do szaleństwa. Łzy spływały mu z oczu; w bezgranicznym gniewie na krzyczącą niesprawiedliwość, z jaką się z nim obchodzono, porwał za swe łańcuchy i począł rwać nimi. Wtedy uczuł łagodne dotknięcie ręki na swém ramieniu, a obejrzawszy się, spostrzegł za sobą łagodne oblicze mnicha-kapucyna.

»Co ci jest, mój synu? — zapytał kapucyn pociągającym głosem. — »Jakież przestępstwo przywiodło cię do tego smutnego miejsca? —

»Jakie przestępstwo, czcigodny ojczy? — powtórzył Konrad, spojrzawszy powtórnie przez łązy w oblicze mnicha. »Przestępstwem mojem jest właściwie to, że jestem żołnierzem i ramienia mego udzieliłem cesarzowi w obronie Austrii i chrześcijaństwa. Pozostaw mię mój boleści. Jesteście pewnie ojcem, który towarzyszy skazańcom w ich ostatniej godzinie. Dosyć będzie, gdy mię chcecie pocieszyć pod samą szubienicą!«

»Nieszczęście twe robi cię uszczypliwym! mój synu — odrzekł mnich łagodnie. — Nie wyglądasz na zwykłego przestępcę, który kalał się w grzechach!«

— To też nie jestem nim — odrzekł Konrad — i nie uczyniłem nic takiego, zacybym teraz miał pokutować. Każdy dzielny żołnierz, który serce ma w właściwem miejscu, byłby to samo uczynił; a mimo tego dostałem się tutaj, by nędzni pisarze zrobili ze mnie zwykłego przestępcę, jak wielu z tych, których dzisiaj tu przypędzono. Idźcie na dół ojczy i każcie sobie podać mój protokół, jaki sporządził ten łotr pisarczyk, aby mię jako ostatniego zbrodniarza napiętnować, któremu tylko dwie pozostają ostateczności: różgi lub szubienica! —

— Stul pysk, łajdaku i nie rezonuj! — wrzasnął dozorca, który słyszał tę mowę i dał mu w bok potężnego kułaka.

»Łotrze, nędzny szubieniczniku! — zawył rozwścieklony tą obelgą Konrad, potężnem również kopnięciem odepchnawszy od siebie dozorcę. Ale natychmiast otoczyli go grenadyerzy morawscy i byłby zginał pod ich kolbami, gdyby się był do nich nie wmieszał kapucyn. »Nie daj się powodować gniewowi — napominał go łagodnie —

ślepa złość tylko los twój pogorszy. Miej cierpliwość, ja już zajmę się tobą.» —

Wśród tego przyprowadził dozorca dwóch więziennych pachołków, rozkazując im, wepchnąć skazańca do najgłębszego lochu. Pomimo że kapucyn starał się temu zapobiec, Konrada wśród kulaków i naśmiewań zaprowadzono do tak ciemnego więzienia, że ledwo mógł dokoła rozeznąć przedmioty. Wszystkiego zaś było tam: drewniana prycza i zgniła słoma. Tu opanowało biednego zwątpienie; modlitwy i klątwy dobywały się z ust jego naprzemian, dopóki z wycieńczenia nie zasnął głęboko. Jak długo sen ten mógł trwać, nie wiedział — obudziły go dopiero głosy dozorców i kapucyna, którzy weszli do jego celi.

— Chodź z nami, mój synu — zawołał kapucyn. — Uwolnią cię z łańcuchów i dadzą inne więzienie i inni sędziowie jeszcze raz sprawę twą rozstrząsają. —

— Czcigodny ojczy! — zawołał Konrad — jesteś prawdziwym aniołem z nieba!

Przyjaciel nasz uwolniony został z okropnego lochu i wszedł na oświecony podwórzec, gdzie mu strażnik więzienny łańcuchy natychmiast odwiązał. Kiedy już ręce miał wolne, pierwszą jego czynnością było, uchwycić rękę kapucyna i złożyć na niej wdzięczny pocałunek. Ten kazał mu usiąść na ławie i podał mu flaszkę prawdziwego węgryna, który rozgrzał skrzeple członki więźnia.

— W interesie twoim — począł kapucyn — byłem u oberszta Tiefrunka i rozpytałem się o twą sprawę. Niestety, nie wiele mogę ci przynieść pocieszającego. Uczyniłeś wbrew rozkazom twego przełożonego, podczas gdy obowiązek żołnierza zmusza cię do bezwzględnej posłuszeństwa.

Chociażby twój czyn był zbawiennym nawet, wobec prawa wojskowego zasługuje na karę. Żal mi cię bardzo, pocziwy Konradzie i chciałbym ci chętnie dopomoc. Nie znasz nikogo, któryby ci mógł uzyskać ułaskawienie?

Jeniec smutnie wstrząsnął głową. »Któżby się chciał zająć biednym żołnierzem? Widzę, że mię już nie obronisz, ojczy, i na śmierć mię skazała!«

— Tak źle sprawa twoja nie stoi — odrzekł kapucyn — będziesz tylko musiał biegać przez różgi.

— Co, różgi? — zawołał Konrad z oburzeniem. — Wolałbym być porąbanym w kawalki od szabel tureckich, lub postradać głowę, by potem zatkniętą była na spisie przed pałacem wielkiego Wezyra, — byłabyto przynajmniej śmierć godna żołnierza. Ale różgi? Nie! wolę sam sobie życie odebrać, niż przeżyć tę hańbę. —

— Nie rozpaczaj tak, mój synu — łagodził go kapucyn — może masz matkę lub ojca, którymby śmierć twa była największém nieszczęściem i katuszą.

— O, moja biedna matka — westchnął Konrad, a dwie krople łez spłynęły mu po obliczu.

— Masz małą, delikatną rękę, na której nie znać śladu ciężkiej pracy — mówił dalej kapucyn — widzę, że nie urodziłeś się na zwykłego żołnierza. Nie chcę się mieszać w twe tajemnice, ale choćby dla matki twój, chciałbym cię uratować. Zwróć się do biskupa Kolonicza! Jest to mąż tak czcigodny, jakiego rzadko napotkać; być może, iż wstawienie się jego zjedna ci łaskę i pomoc, bo o ile ja radzę, ręka twoja i rycerskie serce zdadzą się jeszcze ojczyźnie i cesarzowi. Najlepijby było, gdybyś sam listownie krótko

a jaskrawie położenie twe jemu opowiedział i prosił o jego opiekę. Resztę pozostaw mnie! Oto papier i pióro! — rzekł kapucyn, oboje z sutanny swój wyjmując. — Pisz, a ja tymczasem obróć się gdzie za pożywieniem dla ciebie!

Konrad z wdzięcznością bez granic ucałował ręce szlachetnego mnicha i napisał do biskupa prośbę po łacinie.

Kiedy mnich z gorącą potrawą dla więźnia powrócił, prośba już była gotowa i odebrana. Z podziwieniem spoglądał wtenczas mnich na papier i na więźnia.

— Ho, ho, to klasyczna łacina mój synu! — zawołał zdziwiony — Gdzieś się jój wyuczył?

— Nie pytaj, czcigodny ojcie! — prosił Konrad. — Napisałem po łacinie nie dlatego, aby się pochwalić, ale aby dozorczy o treści jego nie mogli nic wiedzieć.

— A więc, kochany przyjacielu! — rzekł wesoło kapucyn. — Pismo twoje dziś jeszcze pójdzie do biskupa. Tak jest, mój przyjacielu. Nazywam cię zaś tak dlatego, bo jesteś czémś więcej, niżeli się pokazujesz. Bądź zdrow i wierz ojcu Euzebiuszowi! — Gorącym uściśnieniem ręki pożegnał mnich naszego skazańca, jak najostrzej nakazując dozorczy, by się z nim łagodnie obchodzono.

II.

Zamiast na półzgnilój słomie, przepędził Konrad już następną noc na wygodném łóżku. Również użyczono mu wielu ułatwień, a to za

staraniem ojca Euzebiusza. Następnego poranku znowu zawitał do niego kapucyn, ale już w towarzystwie prałata, ubranego w fiolety i złoty łańcuch na piersiach. Mimo swego duchownego stroju miał w sobie coś wojskowego, a piękne jego oczy uderzały śmiałością. Był nim hrabia Kolonicz, biskup z Neustadtu.

— Dostałeś się więc do więzienia za to, że sprzeciwiłeś się rozkazowi komendanta — zaczął biskup, pilnie obserwując jeńca. — Powiedz, kto popełnia takie głupstwo? —

Konrad nachmurzył czoła.

— Rozumię cię! — mówił biskup dalej. — Uratowałeś zapewne kilkaset ludzi niewinnych od śmierci lub niewoli. Pod żołnierską twą bluzą bije serce szlachetne. Nie jesteś też tém, czém się być mienisz. Poznaję to, patrząc na ciebie; poznałem już, czytając twoje pismo. Gdzieś wyuczył się téj klasycznej łaciny, w której do mnie pisałeś?

— Dobrą przeszedłem szkołę! wysoki ojcie — odrzekł Konrad. — Jestem podróżującym uczniem!

— Nie jesteś względem mnie otwarty! — rzekł biskup, potrząsając niedowierzająco głową. — Nie będę się wdzierał w twoje tajemnice, ale wezmę żywy współudział w obronie twego losu i to z większą wiarą w ciebie przyjacielu, aniżeli ty we mnie!

Konrad został tém szlachetnem postępowaniem zawstydzony. — »Istotnie — rzekł — mam przyczynę, milczeć o méj przeszłości. Wy, najdostojniejszy panie, zapewne surowo mnie ukarzecie, możecie nawet odmówić mi duchownej pomocy, ale ręczę Wam, że niczem nie przewiniłem, abym był niegodny Waszej ojcowskiej łaski i pomocy!«

— Mówisz o duchownej karze — rzekł biskup — czyś nie uciekł z jakiego klasztoru, lub nie złamał ślubów, zaprzysiężonych u stopni ołtarza?

— Nie zgrzeszyłem niczem przeciw kościołowi — odrzekł pojmany — ale nie chciałem przeciw memu powołaniu i skłonnościom wstąpić do zakonu; byłbym służył kościołowi tylko pół sercem!

Konrad opowiedział dalej obudwu duchownym, co następuje:

— Rodzice moi posiadają w Górnej Szwabii dobra. Kiedy po kilku miesiącach małżeństwa popadł mój ojciec w chorobę, matka moja, cechująca się od dzieciństwa pobożnością, w myśli uratowania swego męża uczyniła ślub uroczysty, że pierwsze swe dziecko poświęci Bogu na służbę. Mój ojciec wkrótce wyzdrowiał, a matka udarowała go parą bliźniąt. Byli nimi siostra moja Marya i ja. Ojciec mój poradził się natychmiast biskupa Konstancyi, jak wypełnić w obec takiego wypadku przysięgę. Biskup odpowiedział, że siostra, jako wpierw o kilka godzin urodzona, powinna być poświęcona do życia zakonnego. Gdyby zaś umarła wpierw, zanimby śluby zakonne przyjęła, ja miałem jej miejsce zastąpić. Siostra moja kształciła w jednym z klasztorów, ja zaś zostałem na dobrach ojca, otrzymawszy również należne wykształcenie. Uczyłem się pilnie, ale całą moją namietnością była gorąca chęć zostania rycerzem i walczenia w bitwie! —

— Tak, tak, to zwykła huć młodzieńca pełnego ognia — przerwał uśmiechając się biskup. — Ja sam przypominam sobie moją młodość w tém świetle. No, ale dalej! —

— Nie myślałem nigdy o ślubie matki jaki ciążył nad moją głową — ciągnął dalej Konrad — aż do 18. roku życia. Wtedy umarła moja siostra Marya, a ja przyszedłem do przekonania, że teraz trzeba będzie przyjąć śluby zakonne i wesołe życie rycerza zamienić na ciemne mury klasztoru. Prośby moje i płacze na nic się nie zdały; nawet ojciec nie mógł mi w tém pomóc, bo biskup konstancki na wypełnienie przysięgi nalegał. W ten sposób dostałem się do klasztoru Benedyktynów, gdzie czułem się bardzo nieszczęśliwym. Jeden z moich ojców duchownych pogodził mię z czasem z mym losem, umiając uderzyć w mą słabą stronę. Radził mi, abym po ukończeniu studyów starał się o przyjęcie do wielkiego kolegium Stowarzyszenia Jezusowego w Rzymie, aby się wykształcić na misjonarza, głoszącego wiarę Chrystusową. Wtedy będę mógł objeżdżać świat cały; pójdę w kraj Mohametanów i do dzikich ludów Ameryki. To pociągało mię bardzo; po ukończeniu studyów klasztornych udałem się istotnie do tego kolegium. Tam przygotowywałem się żywo do mego posłannictwa i uczyłem się języków: greckiego, tureckiego i arabskiego, abym jak najspieszniej odesłanym był do odległej Lewanty. Ale tam ani myślano o tém i tęsknota moja za podróżami wzmagala się z dniem każdym. Kiedy więc zwłoka wydawała mi się za długą, uciekłem z kolegium.

Wśród przeróżnych przygód i niebezpieczeństw jeździłem tu i ówdzie jako wędrowny uczeń. W końcu zmuszony byłem przystać u jednego kuglarza za pomocnika i z nim objechałem całą Słowiańszczyznę, zostającą pod berłem tureckim. Wtedy doszła mię wiadomość o przygotowującej się nowej wyprawie półksiężycą na

Wiedeń. Opuściłem więc moich towarzyszy i prze-
darłem się aż do Styryi, gdzie wstąpiłem do od-
działu strzelców. Co resztą się stało, wiecie już
wysoki panie i ojczcie! — dokończył Konrad.

Biskup spoglądał na jeńca jakiś czas wzro-
kiem poważnym, a nawet surowym. Potém za-
pytał: — Czyś nie pomyślał o tém, że musisz
ściagnąć na siebie przekleństwo boże, za to, żeś
złamał ślub matki? —

— O! najczcigodniejszy biskupie — wtrącił
teraz kapucyn — cóżby za sługę zyskał ko-
ściół, gdyby mu się on nie oddał całą duszą?
Sprawca ludzkich losów, który w pierś tego mło-
dzieńca wlał pragnienie wolności, znajdzie środki,
uczynienia go użytecznym państwu, na innéj drodze!

— Masz słuszość, ojczcie! — odrzekł biskup
łagodnie. — Oby Bóg kierował twém sercem —
obrócił się teraz biskup do jeńca — a co ma
teraz nastąpić, zawierz tylko mnie i memu słowu.
Otrzymasz wolność i nie podlegniesz żadnej hań-
biącej karze za to, że setki spokojnych wieśniaków
ochroniłeś od śmierci i utraty mienia. Ręczę ci
za to mém słowem! —

Prałat podał młodzieńcowi rękę, którą ten
ucalaował z przejęciem i wdzięcznością, i oddalił się
znowu z księdzem Euzebiuszem. Musimy tu po-
wiedzieć kilka słów o biskupie Koloniczu, który
podczas obleżenia Wiednia miał ważną odegrać
rolę. Szlachetny ten duchowny miał obecnie lat 53,
a w młodości swój należał do kawalerów maltań-
skich. Wskutek bohaterskich swych czynów, ja-
kimi odznaczył się w morskich bitwach przeciwko
Turkom, mianowany został w téj gwardyi kom-
turem. Później wstąpił w stan duchowny i od

r. 1670 był biskupem w Wiener Neustadt. Godność tę piastował z wielką siłą i ludzkością.

Skoro Kolonicz opuścił Konrada, udał się zaraz na dwór cesarski, gdzie miał wziąć udział w radzie wojennej.

Tu właśnie zebrani byli cesarscy doradcy i oficerowie. W jednej framudze okna stał cesarz Leopold i spoglądał z strapioną miną na wał i przedmieścia, śledząc z trwogą południowy zachód, a na horyzoncie jego słupy dymu i ognia, które od czasu do czasu wystrzelały w górę. Kiedy wszedł biskup, cesarz podbiegł doń żywo i serdecznie przywitał.

— Najczcigodniejszy biskupie, czy otrzymaliście mój list? — zapytał.

Biskup potwierdził głębokiem schyleniem głowy. — Jego Majestat może być zawsze pewnym — odrzekł potem — że głowa moja i ramię stoi na usługi Wasze! —

— Wiedziałem o tém naprzód — odrzekł cesarz — i dlatego właśnie mianowałem Go moim tajnym radcą. Dzisiaj raczysz Wasza Ekscelencya wziąć poraz pierwszy udział w radzie wojennej!

Odebrawszy z rąk cesarza dekret i podziękowawszy zań powtórnie głębokiem nachyleniem ciała, usiadł Kolonicz na wyznaczonym miejscu, by w radzie uczestniczyć.

— Radzą mi — rozpoczął najpierw cesarz — abym Wiedeń opuścił i wraz z dworem umieścił się w znacznej odległości poza teatrem wojny. Co o tém myślicie, kochany hrabio-biskupie?

— Gdyby Majestat Jego był żołnierzem — odrzekł biskup Kolonicz, do którego właśnie skierowane było pytanie — nie byłoby lepszéj rady nad tę, by Wasza Miłość pozostała wraz

z nami i sama stanęła na czele załogi miastowej. Ale Majestat Wasz oddawna więcej opiekował się pokojem niż surowém wojennem rzemiosłem. Niech więc Wasza cesarska Mość, raczy wyznaczyć załozde doświadczonego obrońcę jak również znakomitego wodza armii, za murami miasta stojącej; Wasza cesarska Mość nie może narażać się na niebezpieczeństwo, ale jako wierna głowa państwa musi zastępować ją i strzec korony cesarskiej, aby nie przerwała się łączność pomiędzy cesarzem a państwem! —

— Chętnie dzieliłbym trudy i niebezpieczeństwa wraz z obywatelami mego dobrego miasta — odrzekł na to cesarz — ale widzę dobrze, że koniecznością jest utrzymać wspomnianą przez najczcigodniejszego hrabiego-biskupa łączność z całym państwem. Będę musiał cały mój wpływ skierować na to, aby trzystu książąt państwowych i wolne miasta wszystkie dały nam pomoc zbrojną. Zanim to nastąpi i zanim nam król polski pomocy swój łaskawej udzieli, musimy czynić o najważniejsze tj. trzymać się w mieście wszelkimi siłami. Król polski Sobieski, do którego posłów wyśle natychmiast, sądzę, że nie odmówi nam swego wypróbowanego w bojach z Turkami oręża, gdyż znamy go jako szlachetnego, prawdziwego lwa rycerza i wiernego chrześcianina. Co się zaś tyczy naczelnego dowództwa armii, nie mogę oddać go w lepsze ręce, jak w mego szwagra, księcia Karola V. Lotaryńskiego. Ale i załoga miasta musi być powierzona wypróbowanemu i nieustraszonemu wodzowi! —

— Majestat Wasz ma słusznie — odparł biskup Kolonicz. — Brakuje nam jasnej głowy, prawdziwego sprytnego przywódcy. Nie chcę

podawać nazwisk, ale rozkazy wyszłe od kilku oficerów Waszych, świadczą o takim braku rozumu, że to aż wszelkie granice przechodzi. Tak np. przed kilku dniami wyższy jeden oficer wydał niepojęte rozporządzenie, że z szańców położonych nad Litawą, nie wolno dać ani jednego strzału, aż za pozwoleniem komendanta regimentu, który w szańcach nie mieszka, ale aż o kilka mil od nich. Pewnego poranku jeźdźcy tatarscy chcieli Litawę przepłynąć. Spostrzegł to jeden strzelec. Widzi sąsiednie wsie i miasteczka zagrożone śmiercią i pożarem, nabija więc kartacz i kilkoma celnymi strzałami odpędza silny oddział od rzeki, który w popłochu daleko od Litawy odbiega. Na alarm ten odzywają się już wszystkie dzwony wsi miasteczek, mieszkańcy ich już mogą się bronić, a strzelec . . .

— Jak się nazywa ten dzielny człowiek? — przerwał cesarz mocno wzruszony.

— Siedzi w więzieniu w Rothenthurm i oczekuje wyroku, który go skazał na różgi, — dokończył Kolonicz.

— Nie może być, hrabio! —

— Ale niestety, prawdą to jest święta. Jedna ręka pisarza w imieniu opieki i sądu państwa, czyni sobie z tak ważnego obowiązku grę najbezcenniejszą, jedną miarką mierzy winnych i niewinnych, aby sobie tylko ile możliwości pracę, i tak już niegodziwie zhańbioną, jeszcze więcej ułatwić. W takich to obrzydliwych sprawach, w tak krzyczących niesprawiedliwością wyrokach, posługują się ci zbrodniarze, gorsi od tych, których sądzą, imieniem Waszój Cesarskiej Mości! —

Rada wojenna cała aż skamieniała prawie na wieść o takim lekceważeniu sobie monarchy

i nędzném deptaniu sprawiedliwości, o jakim wspomniał biskup Kolonicz.

— Na słowo moje cesarskie — odparł oburzony cesarz — dłużej tak być nie może! W obleżonym Wiedniu nie możemy posługiwać się próżniaczymi pisarzami. Po skończeniu sesyi ośmielę się Was poprosić, najczcigodniejszy hrabio-biskupie, o udanie się natychmiastowe do więzienia z moim pardonem dla skazańca i proszę Was, weźcie go w swoją dalszą opiekę. Ja także mu szlachetnego zapалу nie zapomnę! A teraz po chwilowém przerwaniu sesyi poboczną sprawą, przystąpmy do porządku dziennego. Rozchodzi się teraz o mianowanie dzielnego komendanta twierdzy i gubernatora naszego kochanego Wiednia! —

— Dla objęcia téj godności nie widzę w całym państwie godniejszego i najzdatniejszego, jak namiestnika Morawii, hrabiego Rüdigera Starhenberga! — rzekł biskup.

— I ja teraz właśnie o nim myślałem — odparł cesarz Leopold, bardzo ze zgody myśli uradowany. — Składam Wam więc za tę rozumną poradę, serdeczne dzięki! —

Zgromadzenie jednogłośnie przyzwoliło na podanych dowodców, poczem cesarz zwrócił się do jednego z oficerów i rzekł: — Zechcesz pan szwagrowi memu, księciu Karolowi Lotaryńskiemu sztab komandorski, a dzielnemu hrabiemu Rüdigerowi Starhenbergowi główne dowództwo załogi naszego miasta oświadczyć i dyplomy w ręce ich złożyć! A Wy panie oberszcie, — rzekł cesarz zwróciwszy się do innego oficera — udajcie się natychmiast do rotenthurmskiego więzienia, by wygnać i uwięzić niegodziwych pisarzy i by porządek w całej twierdzy surowo przywrócić! —

Ogólne zadowolenie towarzyszyło tym słowom. Poczém przeciągnięto jeszcze posiedzenie; postanowienia które nie wchodzą jednak w nasze opowiadanie zamilczanymi zostają.

III.

Konrad uwolnionym został z pod wyroku pisarzy i wypuszczonym z więzienia. Już robiło się ciemno, gdy pozostawił za sobą zimne mury więzienne i swobodny przez ulice Wiednia przechodził. Droga w świat daleki stała dlań teraz otworem, nikt nie śmiał go w mieście zatrzymać, mógł zagrożone miasto opuścić, by nie narażać się na niebezpieczeństwo. Jednak postanowił inaczej, a mianowicie życie swe i siły poświęcić ocaleniu Wiednia i niemieckich granic. Idąc tak i rozmyślając, do którego by się pułku przyłączyć, zauważył, że coraz więcej gromadzi się ludzi a wszyscy w jednym dążą kierunku; wkrótce znalazł się w takim ścisiku, że przez tłum ten został porwany. Nagle ukazały się kompanie dragonów i muszkietarów, torując sobie przejście przez fale ludzi. Były to forpocztzy cesarskiego dworu który właśnie miasto opuszczał. Towarzyszyła mu ogromna liczba lektyk, powozów i wozów ładownych, otoczona znów zbrojnymi jeźdźcami na koniach i mułach. Pochód zamykał oddział grenadierów, a za nimi ciągnęły gromady wychodźców, którzy również z obawy niebezpieczeństwa wraz z cesarzem miasto opuszczali. Kiedy pochód już zni-

knął i tłum ludu rozrzednął, oglądał się teraz Konrad za schronieniem, gdzieby mógł zjeść kolację i znaleźć wygodniejszy nocleg. Odkrył wreszcie małą restaurację z domem zajezdnym pod »czarnym rumakiem« i podczas gdy gruba gospodyni przyrządzała mu łóżko w osobnym pokoju, on w sali gościnnej zaspokajał głód pożywłą wieczerzą, przysłuchując się rozmowom obecnych gości, objawiających niezadowolenie swoje z odjazdu monarchy i przepowiadających skutki obalenia.

— Wojna turecka jest srogim biczem bożym dla nas — mówił z nich jeden, piekarz Kipfl. — Pan nasz niebieski musiał na nas zesłać tę burzę, aby nas ukarać za nasze grzechy. Żebyśmy tylko przypadkiem nie umarli z tych lekarstw, które nas niby mają wyleczyć! —

W téjże chwili wszedł do sali jakiś mały, szczupły mężczyzna, z kozią bródką, a na twarzy jego malował się przestrah i przerażenie.

— Bóg z wami! majstrze Zwirnmajerze — zawołał od stołu kowal. — Cóżto leży w żołądku? Wyglądacie tak, jakby djabeł w was siedział. —

— O chroń nas Boże od dzisiejszej nocy, o chroń nas Panie Boże! — wykrztusił wysokim, ciekim głosem gość nowy, po którym łatwo było rozpoznać majstra krawieckiego. — Pierwsze pocztę tureckie krążą już blisko w okolicy. Zapalili klasztor karmelitów na Kahlenbergu, a ogień ten przyświeca naszemu cesarzowi w ucieczce do Lincu. A w mieście stoi tylko jeden regiment »Kaiserstein« i gwardya obywatelska. Garść Turków może nas pokonać! Mury nie wytrzymają ich nacisku! Palisady jeszcze nie skończone a w ba-

styonach brakuje nabożów i koszyków szańcowych. A do tego wszystkiego cesarz nas jeszcze opuścił. Jezus, Marya, Józef! co się z nami stanie? —

— Pozwólcie cesarzowi wraz z jego dworem odjechać — odparł spokojnie majster Blasberger — my tu już sami głów naszych ustrzeżemy. Dzisiaj w nocy Turek jeszcze do miasta nie wejdzie, a jutro rano już z nami będzie lepiej, gdyż ma nadciągnąć z nową siłą niedawno przez cesarza mianowany komendant Wiedna, namiestnik Morawii, hrabia Rüdiger Starhenberg, który przed paru laty tak dzielnie obronił Morawię od Węgrów za Tekölyego. Ten już Turkom podgrzeje! Ja pomówię także słówko z nowym komendantem, kiedy mi niebo zsyla tak dobrą sposobność. W kuźni mojej wisi stara zapomniana kosa. Nigdy na nią nie zważałem; dzisiaj dopiero wpadła mi w oko i pomyślałem sobie, czyby nie było dobrze zrobić z niej jaką siarczystą broń na psa Turka. Sprostowałem ją więc jak się należy, wzmocniłem na grzbiecie, by się lepiej trzymała, wyostrzyłem jak brzytwę — ot i broń gotowa. A żebyście słyszeli jak gwizdże w powietrzu, gdy się nią wywija! Mówię wam, że przetnie najgrubsze pancerze i będzie ścinać głowy tureckie, jak makówki. Każdy chłopak 16-letni, może posługiwać się taką kosą, bez poprzedniego przygotowania. Jak tylko hrabia Starhenberg załatwi się z najważniejszymi sprawami, przedstawię mu tę broń nową. Kilkaset takich kós na kwaśne jabłko pogniecie Turczyzna! —

— To wcale broń nie nowa — odparł jeden z gości, jakiś pan poważny, wyglądający na uczonego. — Szkoci oddawna używali takich kós w bitwach i nazywali je »Locha ber axes«. —

— Niech się zwa i »cielęcymi toporami« — odrzekł kowal zgniewany. — U nas zwią je poprostu kosami; a jeżeli Szkoci wpierw na ten pomysł przyszli, tém lepiej dla nich. Naśladowałem ich, nie przeczę, ale nie ich »lochaber axes«. Przecież i Wiedeńczyk może wpaść na jaki dobry pomysł!

Cechowi rozmawiali z sobą jeszcze długo o zdarzeniach dnia i z wyjątkiem Zwirnmajera wszyscy byli spokojni i dobrego umysłu. Wśród tego wołali naprzemian: »Niech żyje Wiedeń!« — »Vivat Austrya!« i wesoło zadźwięczały kieliszki, jakby Turek stał daleko jeszcze nad Cisą, a nie nad Litawą. Konrada krzykliwy ten chałas znużył cokolwiek, udał się więc do swój sypialni i zasnął twardo. Na drugi dzień rano zapłacił należytość i zajazd opuścił. Zaledwie znalazł się na ulicy, usłyszał wojenne głosy trąb i bębnow. — Idą, idą! — wołali ludzie biegnąc ze wszystkich stron z wielkiem ożywieniem. — Wjeżdżają właśnie przez bramę Kraińską! — Któż to? — Czy nie Turcy? — pytali inni. — Nie, nie — odpowiadano im chałasliwie — to czescy dragoni. — Wszystko rzuciło się w wskazanym kierunku, a i Konrad nie był ostatnim. W kilka minut przybył na ulicę Kraińską, gdzie połyskiwały już w słońcu hełmy i miecze jeźdźców cesarskich. Byłyto truppy armii księcia Lotaryńskiego, któremu turecki wódz Kara Mustafa chciał odciąć wjazd do Wiednia.

Przy wiosce Petronell nad Dunajem przyszło do gorącej bitwy, lecz sąd ogólny, jakoby Austriacy ponieśli klęskę, wydawał się kłamiwym na widok olbrzymich dragonów z zielonymi pióropuszymi na hełmach i koni silnych nad wyraz. Istotnie pogłoska klęski była zupełnie nieprawdziwą. — Austriacy bowiem odnieśli zwycięstwo. Witano

ich okrzykami radości, a odwaga Wiedeńczyków ożywiła się na nowo, chociaż wiedzieli dobrze, że to tylko mała garstka tzw. forpocztę armii, która pod Wiedeń już ciągnęła. Z radośnie poruszonymi tłumami postępował i Konrad przez ulice miasta, przez Leopoldstadt aż na łąkę Tabor, gdzie rozbito namioty i miano urządzić dla armii wielki obóz. Konrad omal nie oszalał z radości i niecierpliwości; zaledwie bowiem rozbito obóz, nadciągały ciągle nowe regimenta: walońscy kirasjerzy, konni strzelcy i żwawa Grenadierya. Dopiero wieczorem powrócił Konrad do miasta, spotykając co chwila nowe regimenta. Naraz rozszedł się błyskawicznie radosny okrzyk: — Komendantnad jeźdza! Hrabia Rüdiger Starhenberg! —

Konrad przedarł się przez tłumy, aby dostrzec sławnego wojownika. Poza kilku kompaniami konnych strzelców widać było grupę wyższych oficerów. Jeden z nich był atletycznej, wysokiej postaci, o łagodnej, ale mężnej i stanowczej fizyognomii, z długim, na ramiona spadającym czarnym włosem. Był to właśnie nowo mianowany komendant Wiednia hrabia Starhenberg. Przy boku jego jechał hrabia-biskup Kolonicz, który zamienił swój strój duchowny na stalowy napierśnik, żelazny kołnierz, naramienniki, metalowe spodnie i buty metalowe z ostrogami. Przy boku wisiał miecz olbrzymi. Po drugiej stronie jechał arcyksiążę Franciszek, a za nimi generałowie z błyszczącym od złota swym sztabem. Towarzyszył im nieprzerwany okrzyk zgromadzonych tłumów i bicie dzwonów i huk dział stolicy. Starhenberg zajął kwaterę — i wszystko znowu ucichło. Konrad zatrzymał się w miejscu, gdzie biskup Kolonicz w skrzydle cesarskiego pałacu z wielu panami i duchownymi

zajął swe stanowisko. Swita jego składała się z samych kawalerów maltańskich, a głównie z tych, którzy z nim razem walczyli, a teraz zajmowali godność bądź naczelników wojskowych szpitali, bądź dowództwo niektórych bastyonów, nazwania zakonu św. Jana. Biskup towarzyszył hrabiemu aż do pałacu, a kiedy zsiadł z konia, przystąpił szybko nasz Konrad i konia mu przytrzymał.

— Co to, młodzieńcze, jeszcze z Wiednia nie odjechałeś? — zapytał biskup, spoglądając nań badawczo. — Myślałem, że już wywędrowałeś w głąb państwa! —

— Nie, najczcigodniejszy Panie! — odrzekł Konrad. — Chcę pozostać tutaj, by udzielić mego ramienia ogólnej sprawie, choćby się i na nic nie miało przydać! —

— To pięknie od ciebie — odrzekł biskup — teraz właśnie nadeszła chwila, że potrzeba nam wiele jasnych głów i dzielnych ramion. Bądź pewny, że zechcemy z poświęcenia twego skorzystać . . . —

IV.

Łagodnego lipcowego wieczoru, siedziały w narożnem oknie wysmukłego domu jakieś dwie kobiety, szyjąc pilnie przy świetle lampy bieliznę dla obrońców miasta. Starsza była właścicielką domu, panią Holten, z starego rodu hrabskiego, której mąż, jako kapitan walońskich kirasjerów, stał w armii księcia Lotaryńskiego już na polu bitwy. Druga, szczególniej miłej i przyciągającej

fizyognomii, pączek rozkwitającej róży, owiana czarownym urokiem młodzieńczej świeżości i siły, była hrabianką Traunek, wychowanica biskupa Kolonicza. Opuściła ona, z przestachu przed Turkami, zameczek swój w okolicy Wiednia i przeniosła się za poleceniem biskupa Kolonicza do swjej krewnej, pani von Holten, która ze zmarłymi obecnie rodzicami Franciszki Traunek, niegdyś w serdecznej żyła przyjaźni.

— Tylko z wielką niechęcią i przymusem, rozłączę się z tobą, kochana Franciszko! — mówiła właśnie pani von Holten do pięknej dziewczicy — ale przecież stanę oporem żądaniu najczcigodniejszego hrabiego biskupa, mego kuzyna, który chce, abyś natychmiast lub prawie jak natychmiast opuściła Wiedeń i złączyła się z cesarskim dworem! —

— Czyż już tak całkiem jestem tutaj niepożyteczna? — spytała Franciszka i spojrzała smutno swymi brunatnymi oczami na macierzyńską swą przyjaciółkę. — Czyż nie mogę opiekować się rannymi, lub pamiętać o utrzymaniu i opiece walecznych obrońców, którzy życie swe poświęcają za sprawę ojczystą? Czyż wreszcie, gdy rzeczy wzięły najgorszy obrót, nie mogę umrzeć razem z innymi. —

— Nie umiera się tak łatwo, jak myślisz, tém bardziej w twoim wieku — odrzekła pani Holten, potrząsając głową. — A nawet śmierć nie jest jeszcze rzeczą najstraszniejszą; gorszem jest częstokroć to, co ją poprzedza. Gdybym miała dożyć téj chwili, żeby cię Turcy z przed oczu moich porwali, by cię zawlec gdzie do haremu sultana lub jakiego baszy, — o, moje dziecko! serce moje ściska się na samą tę myśl!

straszna. Niewierni ci, nie umią niczego uszanować! —

— Najświętsza Panno! — zawołała Franciszka blada z przerażenia. — Ale i ty, na podobne narażasz się niebezpieczeństwo, jeżeli tutaj zostaniesz! —

— Ze mną rzecz inna, drogie dziecię! — ja jestem starą i żoną żołnierza. Losem moim w najgorszym razie byłaby śmierć, a na mnie wiele nie zależy. Wierz mi tylko, że nie daremno radzę ci uciekać. Wszystkie przygotowania świadczą o bliskiej rozpaczliwej obronie — niebezpieczeństwo więc bliskie. Wojownicy dadzą się raczej pod gruzami miasta pogrzebać, aniżeli uwięzić! —

— A czy nie będzie już późno, gdy zechcę odjeżdżać? — spytała hrabianka.

— Nie sędzę — odrzekła matrona; — najczcigodniejszy kuzyn biskup zaradzi już temu; jemu nie brak, choćby niebieskich środków!

W téj chwili usłyszały tentent nagle zbliżającego się konia, który na dole przed ich domem się zatrzymał. Wkrótce potem oznajmiła służąca, że jakiś jeździec od biskupa chce z nimi mówić!

— Każ mu wejść! — rozkazała gospodyni — i zaraz potem wszedł do pokoju jeździec w stroju rycerskim, skłoniwszy się damom w sposób nader dystygowany.

— Jesteś pan posłany od biskupa! — zapytała matrona.

— Do usług, łaskawa pani! — odrzekł Konrad, gdyż on to był tym posłańcem. — Jestem u najczcigodniejszego biskupa ordynansem i przyszedłem po bandażę, które łaskawa pani ma mi dać prawdopodobnie.

— Zaraz pan je otrzymasz — odrzekła pani von Holten i poszła do szafy, gdzie miała pracę swą zamkniętą. — Usiądź pan sobie, dobry przyjacielu! — dodała opuszczając pokój, a ty Franciszko podaj panu wina i przekąskę! —

Młoda hrabianka natychmiast podbiegła do kredensu i podała Konradowi butelkę prawdziwego węgryna i rznięty kielich kryształowy, który sama uprzejmie napełniła.

— Na waszą pomyślność, szlachetna pani — rzekł Konrad grzecznie, podnosząc puchar do ust spragnionych.

Franciszka podziękowała serdecznie. — Czy pan już dawno pozostaje na dworze biskupa? — zapytała.

— Nie, dopiero od kilku dni — odparł Konrad. — Ale służę mu ciałem i duszą i życie dam za niego, bo jemu zawdzięczam życie moje i wolność! —

— Szlachetny to mąż — dodała Franciszka — oby mu Bóg czyny jego nagrodił.

— Tak jest! — odparł żywo Konrad, — a więc na cześć męznego i mądrego umysłu — dodał podnosząc nowy puchar — floreat, crescat!

— Aj, czyjeż zdrowie pijecie? — ozwał się głos biskupa, który w téj chwili drzwi pokoju otworzył.

— Wasze, najczcigodniejszy Panie! — odrzekł Konrad.

— Więc już zawiązaliście z sobą znajomość! — rzekł uśmiechając się biskup — no, tém lepiej, moja kochana wychowaneczko, gdyż dzielny ten młodzian jutro rano będzie ci towarzyszył w ucieczce do Lincu! —

— Niech będzie dokądkolwiek, — przerwał Konrad żwawo — szlachetna pani może na mnie

liczyć, iż bronić i strzec jęj będę, dopóki ręka miecz dźwignąć potrafi! —

— Bardzo dobrze, kochany Konradzie — rzekł biskup, podczas gdy pani Holten powróciła z sąsiedniego pokoju. — A, moja samarytanka zawołał powstając z krzesła i zbliżając się do matrony — a moja samarytanka z całą paką bandażów! Jak widzę, panie bardzo byliście pilne! Bądźże więc tak dobry — rzekł zwracając się do Konrada — weź ten dar samarytanki i odnieś do szpitala! . . . —

V.

W mgle porannęj następnego dnia, pędziło trzech jeźdźców na małych węgierskich koniach, przez te bagniste niziny, które rozciągają się za Taborem wzdłuż Dunaju. Pierwszy rycerz, wyprzedzający swych towarzyszy, był starszym już mężczyzną z ogorzałem obliczem i gęstą brodą. Ponad siodłem konia, trzymał długą, naprzód wysuniętą lancę.

Za nim podążył jakiś młody, niebieskooki młodzieniec w chłopskiej odzieży, uzbrojony w jantan i dwa pistolety. Przy boku jego jechał żwawy, śliczny młodzieniaszek, o cerze śniadęj, cygańskiej, w szerokim słowackim kapeluszu, w szerokich białych płóciennych spodniach węgierskich i w skórzanych kamaszach. Przez plecy zwisał płaszcz ze skóry owczęj, z pod którego obszernych rękawów wyglądały dwie maluchne rączki, trzymające lejce. Widocznie nie czuł się tą jazdą zadowolonym,

gdyż trwożnie rozglądał się często dokoła, jakby się lękał jakiego Turka lub Węgra, któryby mógł gdzie z gąszczy się ukazać.

— Nie lękajcie się niczego, łaskawa hrabianko — pocieszał Konrad tego młodzieniaszka — tu jesteśmy zupełnie bezpieczni. Tam oto na prawo jest dolina Morawy, na której leży obóz księcia Lotaryńskiego; z téj strony więc nie mamy się czego obawiać, gdyż straż nieprzyjacielskie obawiałyby się aż tak głęboko w kraj się zagłębiać. Tylko z lewej strony, ztamtąd, mogłoby nam grozić niebezpieczeństwo, jeżeli istotnie tak jest, jak nam opowiadał flisak, który nas przewoził przez Dunaj, że Turcy już są w Kornneuburgu. Uważam to jednak za bajkę, gdyż w czasie wojny ludzie widzą wiele niewidzialnych straszydeł. Stary Józef, ten na przedzie, który nas prowadzi, jako cesarski posłaniec, zna wszystkie drogi i ścieżki, omija wszystkie gościńce i wioski i pewnie bezpiecznie zawiedzie nas do Wolkersdorfu! —

— Nad wszystko pokładam tylko w was największe zaufanie, panie Konradzie — rzekł z przyjaznym uśmiechem słowacki chłopiec, pod którego brunatnym pomalowaniem i ordynarną odzieżą nikt inny tylko hrabianka Franciszka von Traunek się ukrywała. — Opiekun mój, najczcigodniejszy biskup, nie byłby mię straży pańskiej oddawał, gdyby nie uważał go za jednego człowieka, któremuby mię mógł bezpiecznie powierzyć! —

Jeźdźcy pędzili naprzód, podczas czego Franciszka często badawczym wzrokiem pokryjomu spoglądała na Konrada, gdyż cała jego postawa, ułożenie pańskie i delikatna mowa, stawiała go

wyżej nad zwykłego żołnierza, co też dużo dawało hrabiance do namysłu i domysłu. Słońce wznosiło się wyżej, a stary Józef zwrócił się na lewo ku podnoszącym się w oddali pagórkom. Koło południa dosięgli jeźdźcy lesistego wzgórza i wjechali za przewodnikiem w tajną małą rozpadlinę, gdzie w cieniu buków wytryskało czyste źródelko. Ponieważ tutaj miał odbyć się południowy popas, Konrad pomógł hrabiance zejść z konia i sporządził jej łoże z gałęzi, aby mogła na nim wypocząć po trudach całego przedpołudnia.

Pokrzepiwszy się wprawdzie zabranym prowiantem, położył się stary strzelec na poduszkach z mchu zielonego i wpadł w sen żelazny. I hrabianka zdawała się także na łożu, na którym Konrad płaszcz swój rozpostarł, zasypiać, czemu się Konrad zrazu z dala od koni przyglądał, poczem obchodził gaj w koło, chcąc się przekonać, czy nie grozi jakie niebezpieczeństwo. Powróciwszy położył się także, ale zasnąć nie mógł. Myśli jego zajęte były piękną hrabianką, nad którą dano mu tę błogosławioną opiekę.

Wkońcu był już czas znowu wyruszyć: stary Józef i hrabianka podnieśli się z ziemi, a Konrad poszedł konie osiodłać. Przyprowadził je i chciał już podsadzić hrabiankę, gdy nagle zatrzymał się nadsłuchując uważnie z palcem na ustach.

— Czy nic nie słyszycie, Józefie? — zapytał stłumionym głosem. Tam . . . na skraju lasu . . . coś dzwięczy zdradliwie! . . . —

Istotnie dał się słyszeć tętent licznych koni, jakby zbliżał się oddział wojska.

— Hm! — odrzekł stary, również nadsłuchując — będzie tego kilka tuzinów . . . Jeżeli mię

słuch nie myli, to Turcy, albo Węgrzy, bo konie nie podkute! . . . —

Zatrzymawszy oddech słuchali wszyscy z naprężoną uwagą. Teraz do tętentu koni przymieszła się wrzawa głosów ludzkich. Wreszcie wszystko poczęło cichnąć, oddalając się gdzieś w stronę miasta. Kiedy już nawet cichy odgłos nie dochodził uszu, nasi jeźdźcy dosiedli koni i ruszyli z lasu. Nad samym jego brzegiem zatrzymali się dla ostrożności, a Konrad zsiadłszy z konia, wyjrzał na równinę. W oddali spostrzegł istotnie dwa hufce żołnierzy, a białe turbany na głowach wskazywały Turków.

— Musimy stąd umknąć jak najprędzej — zawołał powracając do towarzyszy. — Tam w dole są już nieprzyjaciele, a w kierunku Kornneuburgu palą się włości. Turcy widocznie przeszli Dunaj powyżej miasta! —

— W takim razie napewne pociągną do Wolkersdorfu — zauważył Józef — nie możemy więc trzymać się téj drogi, jaką nam najczcigodniejszy biskup wyznaczył. Trzeba natychmiast ku lasom Mannhartsbergu! —

Konrad jednak właśnie uważał te lasy za niebezpieczne schronisko. Nie chciał nawet słyszeć o wniosku strzelca, ale postanowił trzymać się ściśle wskazówki biskupa. Stary strzelec obstawał ciągle przy swoim zamiarze, by jak najspieszniej ukryć się w lasach, które rozciągały się na długim paśmie wzgórzy daleko ku północy. Chcąc nie chcąc, tak Konrad jak i hrabianka musieli iść za przewodnikiem i kiedy już słońce zachodziło w czerwonej purpurze, dosięgli najgłębszego pagórka. W nizinie opodal widno było wsi i rozrzucone wśród zieleni murowane domki, ale wszystko puste

i ciche, gdyż mieszkańcy ich w obawie przed Turkami, albo schronili się w obwarowanych miastach, albo przeszli na stronę Morawii. Konie naszych jeźdźców zaledwie wlokły się dalej, tak zmęczone były wspinaniem się i zjeżdżaniem z wysokich wzgórz. Konrad kłął na strzelca, że ich zabłąkał, gdyż dawno powinnyby być już w Wolkersdorfie. Z południa nadchodziła burza, nie można więc było w żaden sposób pozostawać w lesie, ale coprędzej szukać w najbliższej wiosce schronienia. Zaledwie wjechali na dolinę, gdy wśród grzmotu piorunów i olśniewających błyskawic lunął deszcz jak z cebra. Na szczęście zdołali dopędzić na czas do jakiejś słomą krytej chałupy, całkiem pustej i opuszczonej przez mieszkańców. Konrad i strzelec ulokowali się w kuchni, hrabianka zaś w izbie sąsiedniej, gdzie stało łóżko. Konrad nasłał go świeżem sianem z komory i nakrył swym płaszczem. Zjadłszy wieczerzę z resztek pożywienia, udali się na spoczynek. Następnego poranku, jeszcze przed wschodem słońca, puszczono się w drogę. Ponieważ znacznie oddalili się od Wolkersdorfu, postanowili przeto dotrzeć choć do Mistelbachu; tam spodziewano się znaleźć chłopów, którzyby ich do Z n a i m u, miasta w Morawii, zawiedli.

Jechali więc dalej w stronie północnej przez pola i łąki. Podróż ta trwała już kilka godzin. Właśnie wjeżdżali na wzgórze, gdy na grzbiecie jego z drugiej strony spostrzegli hufiec turecki wracający z łupieżczą wyprawą. W jednej chwili z jaki tuzin Turków otoczył naszych trzech jeźdźców. Ci zwrócili natychmiast swe konie i rzucili się do ucieczki.

— »Allah il Allah!« zawyła dzicz rozwścieczona, sypnęły się z pogwizdem strzały

i włócznie, a straszne psy, które Turcy z sobą brali do bitwy, ciągle napastywały ich konie.

— Józefie! do najbliższego lasu! — zawołał Konrad — ja będę się starał zakryć was sobą. — Położył się prawie na konia, by go żadna strzała nie tknęła, jedną nogą zawisł na siodle, jedną trzymał w strzemionach i jataganem bronił się od psów kurdyjskich. Potężném cięciem zmiotł jednemu z nich głowę, to samo spotkało wkrótce drugiego i trzeciego, ale zanim lasu dosięgli, udało się przecież jednej bestyi doścignąć starego strzelca, który cokolwiek w tyle za hrabianką pozostał. Józef strzelił do zwierzęcia, ale chybił. Pies rzucił się na konia, który począł stawiać dęba i obracać się w koło na jednym miejscu. Wszelkie usiłowania strzelca, chcącego konia zmusić do ucieczki, były bezowocne. Aby nie pozostawić hrabianki w lesie bez opieki, Konrad nie mógł zatrzymywać się przy swym towarzyszu. Przeleciał koło Józefa, obrócił się i strzelił z pistoletu do kurdyjskiego jeźdźcy, który już najbardziej zbliżał się do strzelca. Ale tylko koń napastnika został trafiony i padł na ziemię. Kurd błyskawicznie podniósł się z ziemi, napiął łuk i taki sam cios wymierzył koniowi Józefa, który również runął zabity, zrzucając z siebie starego strzelca. Konrad usłyszał za sobą tryumfujący okrzyk turecki i wystrzały z pistoletów. Obejrzał się za siebie i spostrzegł całą gromadę kurdyjskich jeźdźców, którzy z okrzykami radości zatykali już na spisie odciętą głowę pocziwego przewodnika. Prawie w téj samej chwili uczuł się Konrad zrzuconym z siodła i upadł na ziemię. Koń jego wpadł w jamę zarośniętą gęsto borówkami i nie mógł się już podnieść ze ziemi. Jak się zdawało, połamał obie przednie nogi. Konrad nie

mógł ani chwili czekać, témbardziej że Kurdowie już byli tuż za nim. Jak tylko mógł najspieszniej wpadł w gąszcza za hrabianką i zniknął z przed oczu napastników. Przebrnął szeroki strumień i słyszał jak Kurdowie, objeżdżając tam i napowrót, szukali go w zaroślach pobrzeżnych, podczas gdy on ukryty był w gąszczu przeciwnego brzegu. Na potężnym kamiennym pagórku wznosił się olbrzymi klon. Konrad wdrapał się nań a gęsta jego korona udzieliła mu schronienia. Ztąd widział, jak Kurdzi przeszukawszy każdy zakątek, zdawali się nazad powracać. Lękał się jednak podstępu i nie schodził z drzewa. Siedząc tak spokojnie, myślał o hrabiance i biednym strzelcu, który za nie trzymanie się ściśle rozkazu biskupa, tak strasznie odpokutował. Tak upłynęła godzina; Konrad zszedł z drzewa, nabił swe pistolety i zniknął w gąszczu, szukając pilnie śladu hrabianki.

Ale napotkał tyle śladów końskich, że nic nie mógł stanowczego obmyśleć. Na los szczęścia więc rzucił się w lasy. Ustawicznie wywoływał głośno nazwisko hrabianki, ale nikt mu nie odpowiadał. Może ze dwie godziny, jak przynajmniej wskazywało słońce, szedł w stronę północną, gdy wreszcie droga zsunęła się ku leśnej dolinie. Przepływała ją mała rzeczka i właśnie gdy Konrad szukał płytszego miejsca, żeby ją wplaw przebyć, usłyszał w pobliżu powolne kroki i parskanie konia. Szelest ten wychodził z zarośli. W obawie, aby to nie był jaki nieprzyjaciel, Konrad przykucnął i odkręcił kurek, aby w razie potrzeby natychmiast wystrzelić.

Uchyliwszy jednak ostrożnie zarośli, spostrzegł konia hrabianki, który pasł się najspokojniej. Hra

bianki samój wszakże, ani śladu. Ujawszy konia za uzdę, pooglądawszy się pilnie dokoła i po kilkadziesiąt razy bezowocnie wywoławszy imię biednego dziewczęcia, namyślał się teraz, co począć. Myśl, że piękna Franciszka mogła wpaść w ręce Kurdów, była dlań straszną; raz dlatego, że biskup oddał mu ją w opiekę, powtórę, że on sam czuł dla niej coś więcej nad prosty szacunek. Koń kulał cokolwiek, jakby upadł na kolana. Konrad przywiązał go do drzewa i podszedł ku rzeczce, szukając bacznie jakich śladów. Tak doszedł do jakiegoś odosobnionego gąszcza, ale zaledwie rozpostarł jego gałęzie, gdy okrzyk przerażenia wydarł mu się z piersi. Franciszka leżała na ziemi bezduszna i bez kapelusza, a z czoła spływała krew na blade jęj oblicze. Leżała jak martwa i nie słyszała jego wołania. Konrad ujął ją gwałtownie za rękę. Dzięki Bogu! była jeszcze ciepła i puls bił jeszcze wyraźnie. »Żyje, żyje!« — zawołał do siebie Konrad, podniósł ją z ziemi, i zaniósł ku rzece, zimną wodą twarz całą i głowę zmywając. Na czole jęj ukazała się szeroka szrama, toż samo na kapeluszu, jakby podczas ucieczki zadarła się gdzieś o gałęzie drzewa, co też było istotnie.

Po dłuższem oblewaniu zimną wodą, hrabianka otworzyła oczy. »Bogu dzięki — zawołał Konrad — że pani żyjesz przecie! — i z uniesieniem przycisnął jęj białą rączkę do swych ust gorących. — Czy jesteś pani jeszcze gdzie zranioną? — — pytał kilkakrotnie, ale hrabianka nie umiała mu na to odpowiedzieć, bo cały ten wypadek ją unieprzytomnił. Konrad wszakże był pewny, że tylko na czole odniosła jedyną ranę.

— A gdzie Józef? — spytała Franciszka.

— Niech go Bóg przyjmie do swęj łaski i da mu błogosławione zmartwychpowstanie! — odrzekł Konrad, opowiedziawszy wszystko hrabiance.

— Nie martwcie się tém, kochana hrabianko! — pocieszał Konrad. — Stał się ofiarą z własnej przyczyny. Gdyby był szedł za wskazówką biskupa, byłby teraz miał głowę na karku, a my więcej bezpieczni. Chwała jednak Bogu, że większego jeszcze nie było nieszczęścia! —

Kiedy hrabianka, dzięki Konrowi, podniosła się z ziemi, zaraz dosiadła konia, a Konrad szedł przy niej. W ten sposób doszli do końca lasu i natrafili na gościniec, na którym znać było ślady podków i kół. Wkrótce usłyszeli jakiś odgłos daleki. Jeszcze nic nie było widać, bo droga zasłonięta była lasem. Naraz podniósł się tuman kurzu. Konrad pociągnął natychmiast konia hrabianki i ukryli się w gąszczu, ale widocznie zostali dostrzeżeni, gdyż dwóch jeźdźców zbliżyło się ku zarośłom. Konrad zasłonił sobą hrabiankę, ujął konia króciutko i odciągnął kurek u pistoletu. Naraz opuścił broń i wyszedł z krzaków. W jeźdźcach poznał po uniformie konnych strzelców cesarskiego regimentu.

— Kto taki? — zapytali jeźdźcy.

— Dobrzy przyjaciele! — Austria nade wszystko! — odparł Konrad. W téj chwili nadjechała ciężka, kryta wojskowa bryka, w której wieszono prowiant. Za nią ciężki również kryty powóz. W podróżnych ją zajmujących, dostrzegła i poznała Franciszka z wielką radością znane sobie osobistości, a mianowicie jakiegoś tajnego radcę cesarskiego, który właśnie jechał do obozu cesarza i zaprosił do siebie Franciszkę. Podróż

odbyła się dalej spokojnie i koło wieczora dosięgnięto miasta, gdzie już byli przed Turkami bezpieczni. Następnego dnia wychodził z miasta nazad oddział tych samych strzelców, którzy radcy towarzyszyli. Konrad rozstał się z hrabianką, która ze łzami w oczach, silnem uściśnieniem dłoni, podziękowała mu serdecznie za opiekę, a poznać było, że tylko z niechęcią przyszło jej się z nim rozstawać. Potém dosiadł Konrad konia hrabianki i dostał się bezpiecznie wraz z strzelcami do Wiednia.

VI.

Hrabia Starhenberg, nowy komendant Wiednia, z nadzwyczajną szybkością przystąpił do fortyfikacyi stolicy. W przeciągu ośmiu dni wzniosło się kilka wałów i nie mniej jak 200 armat z paszczą rozwartą oczekiwało nieprzyjaciela. Wszyscy rzemieślnicy w mieście się znajdujący pracowali około okopów, a nawet obywatele utworzyli osobne kompanie, które czynnie dopomagały robocie. Do obrony zaś zgłosili się wszyscy cesarscy słudzy, sklepowi subjekci i studenci, z których ostatni 700 młodych sił dostarczyli. Książę Karol Lotaryński dał miastu z swęj armii 14.000 ludzi, tak, że cała załoga Wiednia liczyła 20.000 ludzi. Obywatele złożyli prócz tego hufiec 6000 tysięczny, bardzo powątpiewającego znaczenia. Wszyscy widzieli, że to jest niczem przeciw takiej potędze, że tylko jakiś czas potrafią się odbijać, ale szturm

nie zniosą i padną, jeżeli nie przyjdzie im jedyna rozstrzygająca i najważniejsza siła, król polski Sobieski z swą sławną z waleczności armią, a zwłaszcza z głośną na całą Europę husaryą skrzydlatą. Totóż codziennie tłumy zalegały kościoły, prosząc Boga o Sobieskiego, jak o łaskę niebieską.

Z początkiem lipca poczęto palić przedmieścia, podczas czego setki domów, pałaców i kościołów wspaniałych, rozpadło się w kupę gruzu i popiołu. Znikła wszelka oznaka radości, nawet dzwony wszystkie zamilkły, z wyjątkiem wielkiego dzwonu z wieży św. Szczepana, który codziennie zwoływał obrońców na stanowiska.

Rano dnia następnego tj. 14. lipca ukazała się na wzgórzach Góry Wiedeńskiej główna siła turecka. Z przestraczem przyglądali się Wiedńczycy, jak na równinach i wzgórzach, dokoła Wiednia, powstało okiem nieprzejrzanego miasto namiotów, bogatsze, większe, ludniejsze niż Wiedeń. Czego Europa, czego Azja dostarczyć mogły, wszystko to zgromadzone było w obozie Wezyra Kara Mustafy i zdumieni mieszkańcy Wiednia z podziwem przyglądali się tysiącom kopól, chorągwi, buńczuków, zatkniętych w tureckim obozie. Wielki Wezyr rozbił swoje namioty naprzeciw parku pałacu cesarskiego, a było to prawdziwe miasto z jedwabiu i złota. Przyboczny orszak jego stanowili: Selim Gieraj, najślawniejszy z hanów tatarskich, Apafii, książę siedmiogrodzki, Hospodar wołoski, Sirwan Kantakuzeno, Emeryk Tökely, nowo ogłoszony król węgierski, Dukas, książę multañski i wielu sławnych w boju osiwiiałych baszów.

Pyszny Kara Mustafa przywiódł z sobą cały seraj, 150 paziów czekało jego skinienia. Wnę-

trza jego pałaców obite były złotogłównem i aksamitem, całe ubranie jego błyszczało od złota i drogich kamieni. Pan samowładny życia i śmierci tylu tysięcy niewolników, kazał na miejscu wynieść wystawić namiot, w którym wykonywano wyroki śmierci. Ślepo musiały słuchać jego rozkazów te tłumy. A miał komu rozkazywać, bo wliczając niewolników, rzemieślników, kupców, muzykantów i kobiety, w obozie tureckim zgromadziło się więcej niż 700.000 ludzi, a z tych około 300.000 zdatnych do boju żołnierzy. W nocy, gdy rozpalono ogniska obozowe, to aż niebo oblewało się czerwoną łuną, a huk dniem i nocą ogniem ziejących dział, wrzawa tylu tysięcy ludzi, ryk bydła, sprawiały taki hałas, iż wprawiał w drżenie mieszkańców stolicy. Dokoła namiotu Wielkiego Wezyra, na wzgórzu za przedmieściem św. Ulryka, z prawie nie do wiary podobną szybkością, założono wspaniałe ogrody z wodotryskami, łazienkami i menażeryą najrzadszych zwierząt, w pysznych złożonych klatkach. Namiot Mustafy ukrywał także skarb nadzwyczaj kosztowny, relikwie turecką: chorągiew Proroka, którą sułtan oddał swemu zastępcy w Adrianopolu. Kara Mustafa lubiany był dla swego wojennego ducha, ale z drugiej strony szpeciła go niepomierna duma, hytrość i łakomstwo. W cichości postanowił sobie, całą spodziewaną bogatą zdobycz dla siebie zagarnąć. Bo że Wiedeń zdobędzie, o tém ani nie wątpił. Po ukończeniu tego zadania, z całą armią miał wtargnąć do Niemiec, konie jego armii, jak się sam z dumą wyrażał »miały kąpać się w Renie!« W nagrodę za zwycięstwo spodziewał się dostać od sułtana koronę Węgier. Wiedeń postanowił zdobyć szturmem, minami, i miał do tego bardzo

wprawną inżynierję. Przytém próbował oszukać obleżonych; baterye swoje zwrócił w stronę bastyonu krańskiego, a tymczasem miny kazał kopać w zupełnie innym kierunku. Ale Wiedeńczycy spostrzegli podstęp i także z swęj strony pracowali nad minami przeciwnymi. Właściciele domów zostali zmuszeni do stawiania straży w piwnicach swych kamienic.

Z tём wszystkiem, Wiedeń nie był należycie przygotowany do wytrzymania obleżenia, gdyż nikt nie wierzył w tak rychły pochód Turków. I rzeczywiście! było to w dziejach wojennych niesłychanym dotąd krokiem: zostawiać za sobą niezdobyte twierdze, a minąwszy je, kroczyć wprost na stolicę. Kara Mustafa zaś, zaufany w swą potęgę i pewny zwycięstwa, odważył się na ten krok i zostawiwszy za sobą twierdze: Preszburg i Jaworzyn (Raab), jak powódź niczém nie wstrzymana, wkroczył z swoją armią z Węgier do Austryi i zalał swem wojskiem cały kraj od Presburga aż po Kahlenberg pod Wiedniem, od Dunaju po Alpy południowo-zachodnie.

Sobieski, który miał swoich szpiegów w Turcyi, zawczasu ostrzegał cesarza, że gotująca się wyprawa wyruszy wprost na Wiedeń, że należy przeto wcześniej urządzić możliwą obronę; ale na cesarskim dworze nie wierzono tym przestrogom. Dopiero gdy przednie straże tureckie stanęły na ziemi austryackiej, gdy łuna pożarów oświeciła horyzont, przekonano się o prawdziwości przetróg otrzymanych i poczęto się krzątać koło ubezpieczenia Wiednia. Książę Lotaryński, który dla powstrzymania hord najezdniczych wyruszył był do Węgier, znalazłszy się wobec dziesięćkroć liczniejszego nieprzyjaciela, musiał się cofnąć.

W odwrocie zaprzeczał Turkom po bohatersku każdej piędzi ziemi i jak już wspomnieliśmy, stoczył krwawą bitwę pod Petronelem. Dwór cesarski uciekał do Passawy. Były chwile, w których cesarz i cesarzowa pod gołem niebem na garści słomy musieli noc przepędzać. Na moście pod Krems, margrabia de Seppville, ambasador francuski, odparł z swoim orszakiem nacierających Turków i uratował rodzinę cesarską od dostania się w niewolę. Dopiero na granicach swych krajów dziedzicznych w Passawie zatrzymał się cesarz z swą rodziną i odetchnął swobodniej.

Turcy tymczasem zamykali Wiedeń do koła. Wiedeń leży na prawym brzegu Dunaju i składał się podówczas z właściwego miasta, otoczonego murem, fosami i wałami, i z pięknych przedmieść, z których najwspanialszem i najważniejszem było Leopoldstadt, zbudowane na wyspie i oblane ramionami Dunaju. Sobieski dawno doradzał zburzenie przedmieść, aby Turkom przystęp do miasta utrudnić, lecz rady jego nie słuchano, a teraz — było już zapóźno. Książę Lotaryński i hrabia Starhenberg wprawdzie z nadzwyczajną energią, jak mówiliśmy, w przeciągu kilku dni starał się miasto postawić w obrońnym stanie, burzono i palono pałace i domy przedmieść, lecz Turcy postępowali szybciej niż powódź. Na ruinach domów, wśród ogrodów znaleźli jeszcze dosyć miejsc dogodnych do ustawienia swych bateryj i usypiania szanów na parę set kroków od murów miasta.

Jakie Wiedeń miał siły, wiemy dobrze. Z nimi nie mógł nic więcej uczynić, jak odbijać przynajmniej pociski rzucane na miasto i naprawiać szkody wyrządzane kulami armat tureckich. Jedynem zbawieniem miała być odsiecz króla pol-

skiego Jana III. Sobieskiego. W Wiedniu tymczasem obok nieustraszonego i znakomitego generała artylleryi, komendanta hr. Starhenberga, zebrało się wielu szlachetnych, mężnych i pełnych poświęcenia ludzi, którzy z nieustraszoną odwagą i poświęceniem bez granic, starali się bronić miasta, póki odsiecz nie nadejdzie. Na szczególną wzmiankę zasługuje to, że biskup neustadzki hr. de Kolonicz, niezmuszony, dobrowolnie zamknął się w oblężoném mieście i wyliczył Starhenbergowi na potrzeby oblężnicze 300.000 talarów, na co swe srebro stołowe sprzedał. Książę Lotaryngii zajął Leopoldstadt, chcąc utrzymać związek miasta z lewym brzegiem Dunaju, aby w ostatecznym razie umożliwić mieszkańcom opuszczenie miasta i schronienie się w stronę Czech i Morawii. Lecz Kara Mustafa na dniu 15. lipca przeprowadzając jazdę przez kanał Dunaju, oblewający Leopoldstadt, zmusił księcia Lotaryńskiego do ustąpienia na lewy brzeg Dunaju, a tak Wiedeń został ze wszech stron zamknięty. Przestrach ogarnął całą Europę. Drżały Niemcy, papież Innocenty XI. w trwodze o los chrześcijaństwa wzywał króla francuskiego, Ludwika XIV., ku obronie zagrożonej wiary, ale nadaremnie. Ludwik niepomny na niebezpieczeństwo chrześcijaństwa, a pragnący tylko zadowolić swą dumę i chęć zdobyczy, oraz zniweczyć potęgę domu cesarskiego, popchnął swe wojska nad Ren. Cesarz musiał rozdzielić swe siły i część ich wysłać przeciw Ludwikowi. 6000 zaciężnych Węgrów przeszło na stronę Tökelygo, posiłki książąt Rzeszy niemieckiej nie przybyły jeszcze, cesarz więc mógł tej strasznej potędze przeciwstawić zaledwie 30.000 wojska. Jedynie tylko z Polski wyglądano i spodziewano się pomocy. I papież i cesarz i książęta

Rzeszy niemieckiej ślali posłów za posłami, zaklinając Jana Sobieskiego, by spieszył co rychlej na pomoc zagrożonej stolicy i chrześcijaństwa. List cesarza pisany do Sobieskiego z Passawy, przytaczamy w całości.

»Leopold, z Bożej łaski wybrany cesarzem Rzymian itd. do Króla Polskiego, wielkiego księcia litewskiego itd.

Wasza Arcy Serenitas, wielce potężny książę, bardzo drogi nasz Bracie i Sąsiedzie!

Z niewypowiedzianą radością odebraliśmy listy Waszej Serenitatis z dnia 17. Julii w nie-szczęściu, w jakie nas pogrążyły perfidya Węgrów i spustoszenia, jakich się w Austrii dopuszcza okrucieństwo Turków.

Z listów tych dowiedzieliśmy się z największą pociechą, że Wasza Serenitas dąży przyspieszonymi marszami na odsiecz Wiednia, który jest szczerlnie obleżony, i że Wasza Serenitas zaniechała wskutek tego wszelkich innych planów wojennych, gromadząc Swoje wojska ze zdumiewającą skwapliwością, aby miasto wyrwać z rąk, a raczej z paszczy nieprzyjaciół.

Rozkazaliśmy też naszemu wiernemu a ukochanemu baronowi Janowi de Zirow Zierowskiemu, naszemu doradcy i posłowi nadzwyczajnemu, aby oświadczył Waszej Serenitatis, z jaką wdzięcznością uznajemy tę gotowość podziwu godną, która głównie jest korzyścią całego chrześcijaństwa i którą zawdzięczamy mniej warunkom przymierza między nami zawartego, jak raczej życzliwości szczególnej Waszej Serenitatis dla nas i naszych spraw.

Tenże sam poseł ma rozkaz wyjaśnienia wszystkiego tego, co uznaliśmy za konieczną

w obecnych sprawach wojennych, a zwłaszcza co do odsieczy Wiednia; i przedstawi to świetnej przezorności i doświadczeniu wojennemu Waszój Serenitatis. Dla tego upraszamy Was, w zaufaniu prawdziwie braterskiem, abyście wysłuchali i dawali wiarę zupełną temu, co rzeczony nadzwyczajny poseł w naszym imieniu Wam powie; i zasklinamy, abyście dalej postępowali tym świetnym torem z témże uniesieniem, jak rozpoczęliście, a które to postępowanie zgotuje Wam chwałę nieśmiertelną, a oswobodzenie Wiednia będzie Wam w potomności nieśmiertelnym pomnikiem; a co przywiąże coraz bardziej naszą życzliwość ku królewskiej Waszój rodzinie.

Na koniec prosimy Pana Boga, aby raczył zlewać na Was wszelkie pomyślności.

Dan w Passau d. 3. Augusta 1683 roku, panowania naszego w cesarstwie 26, na Węgrzech 29, a w Czechach 27.

Waszój Serenitatis dobry brat i sąsiad

Leopold.«

Z listem tym wysłał cesarz jeszcze drugiego posła hrabiego Wilczka, który z posłem papieskim Pallavicini stanął przed królem, gdy tenże w wiosce Wilanowie pod Warszawą siedł na Mszę św. Wtedy poseł cesarski uklęknął przed Janem III. i zawołał: — Królu, ratuj Wiedeń! — a poseł papieski dodał: — I chrześcijaństwo! —

Król Jan III., dowiedziawszy się w jak wielkiem niebezpieczeństwie zostaje stolica cesarska, udał się nasamprzód w pobożnej pielgrzymce do Częstochowy i Studzianny, aby siebie i wojsko swoje polecić opiece Najwyższego i błagać go o udzielenie pomocy. Dnia 23. lipca położył król

pierwszy kamień kościoła dla Kapucynów, pod nazwą: »Chrystusa zwycięzcy.« Do wielu miejsc głośnych szczególnymi łaskami Boga, posyłał dary, np. do Szamotuł, niedaleko Poznania, gdzie się znajduje cudowny obraz Matki Boskiej, przesłał tak wielką lampę, że ją z trudnością mógł dźwignąć dorosły człowiek.

W lipcu udał się król do Krakowa, gdzie się zbierało wojsko polskie. Tu obszedł pobożny monarcha w uroczystej procesyi wszystkie kościoły, aby błagać Boga o błogosławieństwo dla oręża polskiego. Dnia 15. sierpnia nakoniec wyruszył Jan III. z Krakowa, aby przez Ślązk i Morawę dążyć pod Wiedeń.

Przechodząc przez Bytom, zboczył król umyślnie do Piekar, aby się pomodlić przed cudownym obrazem N. Maryi Panny. Dnia 22. sierpnia stanął Sobieski w Gliwicach, gdzie ochrzczono dwóch Mahometan z jego orszaku. Na tę pamiątkę kazał król zasadzić dwie lipy, które dotąd istnieją w Gliwicach, zwane »lipami Sobieskiego«.

Podczas tego obywatelstwo Wiednia dzień dziennie ćwiczyło się na placach swego zagrożonego grodu.

— Raz, dwa — raz, dwa — w prawo, w lewo — naprzód — marsz! — grzmiał silny głos pana Szwammelbachera, który był płatnerzem, a teraz wziął na siebie ciężki obowiązek dowodzenia piekarzami. — Sakramenckie ciury! — wołał w największej pasyi — uważajcież przecie! Czy nie możecie kolan wyprostować, wy małpy jakieś! Kompania — stój! Zmień front! —

— O sakra, ale to dopieka! — wzdychał gruby meister Kipfl, postawił karabin na ziemi

i chustką skroń spoconą ocierał. — Panie Szwammelbacher! — odezwał się do dowódcy — czyto koniecznie potrzeba maszerować i obracać się podług taktu? Ja myślę, że gdy przyjdzie do ataku, wszystko będzie jedno, czy prawą czy lewą nogą wpadnę na Turczyzna! —

— Tłómacz pan sobie, jak się panu podoba — odrzekł Szwammelbacher. — Przy mieszaniu ciasta, istotnie nie potrzeba taktu, ale przy robieniu bronia, rzecz inna! Tu liczyć już trzeba koniecznie.

— O przeklęty upał i piekielne pragnienie! — wzdychał piekarz dalej po swojemu. — He! Sepperl! — zawołał na swego pomocnika piekarskiego, który opodal przypatrywał się swemu panu i na widok jego niezgrabnych poruszeń aż boki zrywał ze śmiechu — he! Sepperl, ty djabli synu, podaj mi zaraz flaszkę polową! — Uczeń piekarski obrócił się natychmiast w stronę wielkiego plecnego kosza, wyjął z niego ogromną flaszkę i podał ją swemu majstrowi. Pan Kipfl pociągnął z niej potężnego hausta i podał dalej flaszkę towarzyszom. Nawet dowódca nie pogardził napojem.

— Patrzcie, oto spragnione beczki piekarskie! — odezwał się jakiś głos z oddziału studentów, który właśnie w szybkim marszu nadchodził. Wielu z nich miało na twarzach plastry i blizny z bitw już przebyłych. Wszyscy wszakże byli weseli i na widok pułku piekarzy w głos się roześmiali.

— Co wam przyjdzie z tego, że tu będziecie się przekręcać na pięcie, kiedy Turcy atakują bastyon zamkowy — zawołał z nich jeden. — Idźcie tam lepiej i zastąpcie swymi beczkowatymi brzuchami kosze szańcowe! —

Kilku z piekarzy obraziło się tym żartem, ale majster Kipfl odrzekł flegmatycznie: — Pozwólcie im żartować! dzielne to chłopaki i już od trzech dni przeszło nie zrzucili z siebie broni! Hola, panie studencie! — zawołał do szydzącego — pozwól trochę z méj flaszki! —

— Bóg wam zapłać — odrzekł zaproszony i flaszkę do gardła wychylił. — Ale jesttu między nami jeden, który najgodniejszy jest pokrzepienia, nasz strzelec, który od trzech dni oczu jeszcze nie zmrużył! —

— Jużem was widział »pod czarnym koniem« — zwrócił się Kipfl do naszego Konrada i podał mu flaszę. — Ale co to, macie plaster na głowie i bandaż na ramieniu! —

— Bandaż noszę dopiero od przedwczoraj; strzała turecka zraniła mi ramię, na szczęście, przynajmniej lewe — odrzekł Konrad, dziękując za poczęstunek — a tu na głowie to tylko osmałenie od skorupy granatu. Dzięki wam raz jeszcze, panie majstrze! — No, ale teraz naprzód! —

— Kompania — bacność! — Naprzód w biegu — marsz! —

W jednej chwili uszykowali się synowie muz i w wesołym marszu popędzili pod kierunkiem Konrada w stronę zamkowego bastyonu, gdzie ich wkrótce znowu zobaczymy.

Całe przedmieście od strony wspomnianego bastyonu było w ogromném poruszeniu. Straszny huk dział, i przeszło czterdziestu karabinierów w ciągłym ogniu, łoskot walących się kamieni z muru i bastyonu zamkowego, odrywanych kulami armat nieprzyjacielskich, grad kartaczy sypiących się z bastyonu na wroga, — wszystko to krwawy przedstawiało widok. Granaty tureckie

to tu, to tam zapalały palisady i szopy, ale gwardya obywatelska gasiła je coprędzej. Naraz w stronie bastyonu podniósł się olbrzymi słup ognia, a z nim piekielny łoskot, od którego aż ziemia i mury forteczne zadrżały. Deszcz ziemi i kamieni zaciemnił powietrze.

— Mina, turecka mina! — wołali ludzie w straszném przerażeniu. — Turcy wnet szturm przypuszczą! —

Nie upłynęło pięć minut, gdy z dala usłyszano przerażający okrzyk turecki, hałas trąb i kotłów, i bezustanne: Allah, Allah il Allah! Następnie wśród grzmotu dział słyhać było urywane strzały kilku tysięcy karabinów. W bastyonie, do którego prowadzimy obecnie czytelnika, utworzył się w ziemi wielki otwór lejkowaty, prochem strzelnym opalony, który mina w ziemi zrobiła. Z drugiej strony wpadali janczarzy, chcąc rów i palisady przesadzić. Oszołomieni opiumem, wśród dzikiego wrzasku uderzyli na bastyon, ciskając nań grad kul, strzał i innych nabojów. Obrońcy, złożeni z kilku kompanii cesarskich żołnierzy, kilku oddziałów obywatelskiej gwardyi i liczne plutonu studentów, spokojnie oczekiwali nieprzyjaciela. Kobiety i dzieci w głębokich wannach nanosiły gorącej smoły i oleju, którymi oblewano Turków, jak tylko przestały na chwilę działać karabiny, pistolety, halebardy, siekiery i miecze; najstraszniejszą wszakże i najskuteczniejszą bronią były kosy, znanego nam już kowala Blasbergera, którymi Starhenberg 500 ludzi uzbroił. Jak powódź jaka napływali Turcy na wały i bastiony, a chociaż od kós i innéj broni padali całymi stosami, nowe na ich miejsce, jak z ziemi wyrastały szeregi. W tyle za nimi szły

żelazem kute lektyki, które wielki wezyr i dwór jego zajmował, by ludzi swych do boju zaognić, a wahających się karać na miejscu. Po trzykroć uderzali janczarzy wraz z syryjskimi oddziałami, ale zawsze bezowocnie. Kosy i helabardy, topory i karabiny, smoła i olój wrzący — odganiały ich napowrót, a bomby puszczane z bastyonu i grad kartaczy, niemałe między nimi czyniły zniszczenia. Wreszcie odstąpił nieprzyjaciół, setki trupów pozostawiając na placu. Burza przeszła, obrońcy Wiednia rannych i zabitych odnieśli z placu bitwy. Gromada studentów z niepomierną boleścią na obliczach, otaczała jednego z swych towarzyszy, który bez znaku życia leżał na ziemi. Felczer odwijął mu rękaw i lancetem przeciął nagle żyłę. Dopiero po kilku minutach ukazało się kilka kropel krwi zsiadłej, za nimi wytrysły inne, a w kilka minut puściła się krew z wielką obfitością. Ranny otworzył oczy i poprosił o wodę.

— Bogu dzięki, żyje! — wołali studenci, podczas gdy felczer już flaszkę z jakimś ożywczym płynem do ust jego przytykał.

— Ach, jak to pokrzepia! — wyszeptał ranny. — Ale tu pali jak ogień — ciągnął dalej, dotykając się ręką głowy — zdaje mi się jakbym rozbitą miał czaszkę! —

— Trafiła cię kolba janczarskiej strzelby — rzekł doń jeden z studentów — gdyś jednemu z jego towarzyszków łeb w ćwierci rozpłatał. Łajdak chciał nasze miny podpalić, już zapalał worek prochu, ale ty szablą zaćmiłeś mu oczy i palący się już worek rzuciłeś na Turków. Ukryte w prochu granaty siekały Turków na kapustę. Aj, był to widok, jak łotr upadł na ziemię, a idący za nim janczarowie wylecieli

w powietrzu! Tęto czyn twój prawdziwie bohaterski, był główną przyczyną ich ucieczki! —

— A któż to uczynił? — ozwał się jakiś głos przytłumiony w tyle za zgromadzonymi. Studenci ogłębili się — za nimi stał biskup Kolonicz.

— Oto ten żołnierz — rzekł jeden z studentów, wskazując na rannego — nazywa się Konrad i przez Waszą Ekscellencyę przydany został do naszej kompanii za przywódcę. —

— Tyś Konrad? — zawołał biskup, który pod pyłem prochowym i krwią płynącą, nie mógł rozpoznać twarzy rannego. — Dzielny chłopcze, nie może ci to być zapomnianem, jeżeli cię tylko Bóg do zdrowia powróci. Czyn twój bohaterski zamelduję komendantowi. —

— Zasłużył na to — ozwał się inny student — aby zastąpił nam miejsce zabitego kapitana. — Bez niego bylibyśmy na pewne zgnieci. —

— Dobrześ powiedział — rzekł biskup — kto wie, czy Konrad nie przewyższyłby go nawet w bohaterstwie. Jednak o tém potem — a teraz szybką pomoc, by powrócił do zdrowia. Weźcież, moi kochani rannego i nieście go za mną. Ja już wiem, gdzie go najlepiej będą pielegnować. —

VII.

Poranne promienie słońca zagłądały w piękny ranek sierpniowy do mieszkani pani von Holten, i oświecały łóżko, na którym leżał ranny nasz Konrad. Ciężki oddech chorego i spieczone wargi

wskazywały wyraźnie, że trawi go potężna febra. Z ust wybiegały czasem pomieszane bez ładu słowa. Z sąsiedniego pokoju wyszła właśnie pani von Holten, tkliwa jego opiekunka, z ojcem Euzebiuszem, który często odwiedzał chorego.

— Chodź tu, moja kochana — szeptał Konrad, palcami coś w powietrzu pokazując. — Chodź, idziemy na wesele! Najczcigodniejszy ksiądz biskup połączy nas z sobą, a potem pojedziemy do moich rodziców, do zamku Hirszenstein! — Potem szeptał jeszcze coś niezrozumiale; nagle wydał okrzyk: — Daléj na Turka! na Turka, dzielni chłopcy! Precz poganie! Vivat! nadchodzą pułki cesarskie!

— Oby Bóg sprawdził to, co mówisz biedny Konradzie! — wyszeptał kapucyn.

— Zawsze jedne i te same myśli: — rzekła pani von Holten, głos jak najbardziej przytłumiając, — narzeczona, rodzice na zamku Hirszenstein, Turcy i pułki cesarskie! Wszystko zmieszane razem! — Ojciec Euzebiusz, obserwował chorego, dotknął się jego czoła, wziął delikatnie za puls. — Bogu chwała! febra ustępuje! — rzekł z radością na twarzy — silna jego natura kryzys przetrzyma. Dzisiejsze moje odwiedziny nie wystarczą same choremu, potrzeba i was tutaj, łaskawa pani. Muszę was na to przygotować, że dziś pójdzie sprawa trochę goręcej i gorzej, ale nie lękajcie się niczego. Bóg od pierwszych dni był zawsze z naszymi pułkami. W trzech wypadkach Turcy muszą upaść. Według wszelkiego prawdopodobieństwa będą się chcieli pomścić za swój upadek. Czaty nasze wieżowe dostrzegły już od wczesnego poranku jakiś niezwykły ruch w obozie tureckim. Dlatego hrabia Starhenberg udał się na wieżę św. Szczepana, aby nieprzyjaciela obserwować —

wszystkie nasze siły stoją już w pogotowiu. A teraz Bogu Was polecam, łaskawa pani. Muszę biec do szpitalów, gdzie grasuje tyfus i febra. Szlachetny nasz biskup Kolonicz i jego kanonicy tyle mają tam do czynienia, że głowy tracą! — Mówiąc to, uścisnął rękę pani von Holten; tymczasem ta spoglądała na chorego z wielkiem miłosierdziem i przyrządzała mu ochładzające napoje. Koło południa, gdy znowu przy łóżku jego usiadła, straszliwy łoskot wstrząsnął całym domem a w kilka sekund zaciemniło się niebo. »Mina, mina turecka!« — krzyczeli ludzie na gościńcu, biegnąc tam i napowrót w wielkim niepokoju. Z wieży św. Szczepana ozwał się dzwon, wzywający do walki, a tysiące strzałów grzmiało w oddali. Pani von Holten padła na kolana, prosząc Boga o litość nad obłąkanymi, o zwycięstwo dla Wiedeńczyków. Gdy powstała i spojrzała na łóżko, z przerażeniem wielkim cofnęła się aż o kilka kroków. Na łóżku Konrad siedział wyprostowany, z oczyma wytrzyszczonymi, a z ust i z nosa płynęła mu krew strumieniem. W rozpacz przybiegła prędko po wodę zimną i chusty, którymi krwotok zatamowała. Konrad oglądał się dokoła z zadziwieniem, i zapytał, w jaki sposób się dostał tutaj. Ucieszona pani von Holten przywróconą przytomnością Konrada, opowiedziała mu wszystko. Był już wieczór, jak ojciec Euzebiusz znowu przyszedł do Konrada. Opowiadał, jak Turcy wysadzili w powietrze jedną część bastyonu zamkowego, jak potem wszczął się szturm zażarty i Turcy, straciwszy 2500 ludzi zmuszeni byli ustąpić. Ucieszył się wielce pomyslną zmianą, zaszła w organizmie Konrada i zaraz przystąpił do łoża chorego. Konrad poznał natychmiast starego swego przy-

jaciela i ucieszył się również prawdziwie, dowiedziawszy się od ojca Euzebiusza, że litościwy ksiądz biskup Kolonicz zawsze się o niego dopytuje i że Wiedeńczykom dotychczas przynajmniej powodzi się w utarczkach z Turkami.

— Spodziewam się, że mi wkrótce zupełnie wyzdrowiejesz mój synu — rzekł ojciec Euzebiusz odchodząc. — Krwotok był zbawienną pomocą naturalną; oczyścił mózg od kontuzyi! —

Konrad wyraził życzenie przeniesienia się do szpitalu, gdyż lękał się, czy litościwej swój opiekunce nie jest zbyt wielkim ciężarem. Ojciec Euzebiusz zbił to przekonanie, tém bardziej, że szpitale zapełnione były chorymi po same brzegi. Pani von Holten również o tém ani słyszeć nie chciała. Wzięła do siebie Konrada nie tylko, że tak dyktowało jej serce, nietylko że uważała go za troskliwego obrońcę kochanej Franciszki, którą szczęśliwie do celu przeprowadził, ale dlatego wreszcie, że tak sobie życzył jej mąż, pozostający obecnie na polu bitwy, w armii księcia Lotaryńskiego. Ostatni ten powód, na mocy którego pani von Holten zmuszała Konrada do pozostania u niej aż do zupełnego wyzdrowienia, było stanowczém rozstrzygnięciem sprawy i Konrad musiał się dać przekonać. Codziennie rany goiły się z widoczną szybkością.

Ojciec Euzebiusz odwiedzał go w każdej wolniejszej chwili i zawiadamiał go dokładnie o przebiegu oblężenia i obrony. Jak opowiadał, pohańcy wiele już zagarnęli ofiar, a między nimi niemało wyższych duchownych i urzędników i znaczniejszych obywateli. Dopiero za wstawieniem się i energicznym oporem biskupa Kolonicza, polowań podobnych na bezbronnych dostojników,

Turcy zaprzestali. Dalej mówił mu o dzielnych i śmiałych czynach obrońców na wałach i bastyonach, o szczęśliwszem położeniu księcia Lotaryńskiego, do którego przyłączyły się obecnie także liczne siły bawarskie, saskie i frankońskie i o prawdopodobném przybyciu polskiego króla Jana Sobieskiego, już na początku września.

Wiadomości te zagrażały znowu dzielnego żołnierza; radby był jak najprędzej stanąć naprzeciw nieprzyjacielowi.

VIII.

Podczas, gdy Konrad powoli przychodził do siebie, miasto nie mało jeszcze przeżyło dni tentalowych, do ogólnej bowiem rozpacz, do nowych ofiar, chorób i częstych niepowodzeń, przyłączył się straszny głód, który odbierał wszelką otuchę mieszkańcom. Brak mięsa był tak wielki, że łowiono koty i psy a nawet szczury, którymi się, jak łakociami, raczono. Hrabia Starhenberg kilka razy dziennie kazał puszczać z wieży św. Szczepana rakiety, jako pomocy wołające sygnały do nadchodzącej odsieczy. Wprawdzie odpowiadano im również rakietami, ale te ciągle strzelały z lewego brzegu Dunaju, ani na krok nie zbliżone więcej do miasta. Dopóki sygnałowych ogni nie ujrzą na prawym brzegu Dunaju, na Kahlenbergu, pomoc spodziewana jeszcze daleko. Codziennie staczano krwawe bitwy na wałach, najgoręcej poszło w dniu 4. września. Turcy tak straszną minę podłożyli pod bastyon zamkowy, że cała

ulica Graben została prawie całkiem gruzami i ziemią zasypała. Przez zrobiony wyłom wdarli się Turcy w liczbie 4000 pod osobistém dowódctwem Kara Mustafy. Hrabia Starhenberg nadbiegł z całym swym sztabem, aby zagrożony punkt obronić lub paść na wyłomie. Nieprzyjaciół zatknął już nawet na wałach kilka buńczuków, jednak po dwugodzinnej bitwie został odparty. Turcy stracili 500 żołnierzy, ale i ze strony Wiedeńczyków było 119 zabitych, co dla szczupłej, a ciągle jeszcze topniejącej garsteczki obrońców, było wielką szkodą. Wieczorem tego dnia zwołał Starhenberg radę wojenną, w której wzięli udział wszyscy wyżsi oficerowie. — Przyjaciół nasz, zupełnie wyzdrowiały Konrad był tegoż samego dnia, poraz pierwszy po tak długiej przerwie na wałach i dokazywał cudów męstwa, nie doznawszy najmniejszego obrażenia. Po bitwie brał udział w robotach około bastyonu i dopiero wieczorem powrócił do swjej kwatery, do pani von Holten, która go i teraz jeszcze puścić od siebie nie chciała. Gdy przybył, zastał ojca Euzebiusza, który oczekiwał go z niecierpliwością.

— Najprzewielebniejszy ksiądz biskup — rzekł do wchodzącego — woła cię do siebie. O ile mi się zdaje, ma ci coś ważnego udzielić, gdyż polecając mi przyprowadzić ciebie, rozprawiał o czémś żywo z hrabią Starhenbergiem.

Konrad pospieszył natychmiast w towarzystwie ojca Euzebiusza do zamku. W przedpokoju sali, w której zebrana była rada wojenna, kapucyn powiedział kilka słów oficerowi ordonansowemu, poczem Konrad został do sali wpuszczonym. Hrabia Starhenberg siedział z oficerami nad stołem, zakrytym planami i mapami. Biskup Kolonicz,

który się również między zgromadzonymi znajdował, pospieszył naprzeciw wchodzącego Konrada i przedstawił go komendantowi. — Co mówiłem już Waszój Ekscelencyi — rzekł — to tylko chyba mogę powtórzyć. Jeżeli tylko sprawę tę odważy się przyjąć nasz wojak, nie znajdziemy sprawniejszego! —

— Polecono mi cię gorąco — rzekł Starhenberg do Konrada, badając go swym bystrym wzrokiem. — Kiedy tylokrotnie się już odznaczyłeś, a nawet życiem niedawno omal nie przeplaciłeś twój wierności dla cesarza i ojczyzny, nie powinniśmy cię już więcej narażać. Ale nie mamy nikogo, któremu moglibyśmy sprawę tę ważną powierzyć, chyba tobie jedynie i to tobie wyłącznie! —

— Jestem na usługi Waszój Ekscelencyi i gotowy na wszystko — odparł Konrad skromnie, ale stanowczo.

— Chodzi tu o poselstwo do najjaśniejszego księcia Lotaryńskiego, który stoi obozem na Bizambergu — objaśnił hrabia. — Kto podejmie się tej uciążliwej przesyłki, musi przepłynąć Dunaj i przedrzeć się przez tureckie obozy. Złączone jest więc z tém wielkie niebezpieczeństwo. Ale położenie miasta jest rozpaczliwe. Straszny są straty, jakie załoga nasza od nieprzyjaciela, przez głód i choroby ponosi. Książę musi być zawiadomionym, jak nagłą i szybką powinna być pomoc. Pomyślnie sygnały, puszczane z Kahlenbergu, podniosą otuchę obleżonych. —

— Ekscelencyo, przy pomocy Bożej podejmuję się tego poselstwa! — odparł Konrad stanowczo.

— Amen! mój synu — dodał biskup. — Silne zaufanie w pomoc boską, jest najlepszym puklerzem. —

— Dobrze więc! — rzekł Starhenberg. — Nie żądam jeszcze od ciebie słowa, dopóki ci nie powiem, jak powiodło się twym poprzednikom, którzy na tóż samo, co ty, się ważyli. Po tém dopiero zdecydować się możesz. Oficer Gregorowicz, kupiec Kulczycki i sługa jego Michajłowicz, w różnych porach odważali się przedrzeć przez obóz turecki. Dwaj pierwsi nie mogliby już podjąć się poselstwa, bo Turcy ich poznali. Michajłowiczowi pierwszy raz się powiodło szczęśliwie; drugi raz wybrał się i niepowrócił. Ty jesteś odważnym, śmiałym i stanowczym, umiesz po turecku i arabsku, tobie więc jednemu mógłbym sprawę tę drażliwą powierzyć! —

— Ekscelencyo, postanowienie moje jest tak silne, jak pierwój! — odrzekł Konrad. — Tęj jeszcze nocy gotów jestem wybrać się w drogę! —

— A więc zamelduj się do mnie, gdy będziesz gotowym do drogi — odrzekł komendant, uradowany niezmiernie. — We mnie i w cesarzu masz swoich dłużników. Przyjdź do mnie, dam ci depesze i wskazówki. —

Konrad uklonił się i salę opuścił. Powrócił do pani von Holten, poprosił o światło i papier i zasiadł do pisania. Gdy już skończył, oznajmił swęj opiekunce, że idzie z depeszami do księcia Lotaryńskiego i prosi ją o liścik dla męża, któremu go doręczy. —

Kiedy Konrad napowrót wszedł do swego pokoju, pani von Holten zasiadła do napisania listu. Było to ledwie kilka wierszy, ale obficie skropionych łzami.

— I ja także zostawiam Wam list, łaskawa pani! — rzekł Konrad, powracając z swego pokoju z zapieczętowaną paczką. — Zawiera on mój majątek i ostatnią wolę. Proszę Was, oddajcie ten list z pozdrowieniem ojcu Euzebiuszowi. Jeśli nie wrócę, niechaj go otworzy.

— Moje myśli i modły, będą ciągle przy Was! — rzekła pani von Holten mocno wzruszona. Konrad w wzruszających również słowach podziękował jej za opiekę i wszystko dobre, jakiego doznał od niej kiedykolwiek, ze łzami w oczach pocałował ją w rękę i dom opuścił. Pospieszył do zamku, aby wziąć wskazówki i depesze od hrabiego Starhenberga.

W godzinę po północy dwoje ludzi wyszło z cesarskiego zamku. Jeden z nich był w uniformie adjutanta, drugi ubrany był w szaty tureckie. Obaj przechodzili pustymi i ciemnymi ulicami, które od czasu do czasu turecka oświecała bomba. Z Rotenthurmthore wyszedł Konrad ukrytą bramką. Onto bowiem był przebrany za Turka. — »Polecam cię Bogu! — rzekł adjutant, ściskając serdecznie dłoń dzielnego żołnierza. — Bóg z nami i z Austryą! — odrzekł Konrad; poczem bramka zamknęła się za nim. Przeszedł przez palisady, spuścił się z wałów i znikł w ciemnościach.

Przychodniowi, zwiedzającemu wieżę św. Szczepana, podziś dzień jeszcze pokazują ławkę kamienną, na której codziennie prawie siedział hrabia Starhenberg w czasie oblężenia, pilnie obserwując wroga. Tu także siedział on z dwoma adjutantami wieczór d. 6. września, spoglądając z naprężoną uwagą w stronę Kahlenbergu. Nie zamieniono z sobą ani jednego słowa; adjutanci

obserwowali bacznie wyraz twarzy swego komen-
danta, który naraz zmienił się z posagowego
w ożywczy i rozweselony. Nagle ukazała się
rakieta z góry Kahlenbergu. Z okrzykiem radości
Starhenberg pochwycił za lornetę, z zapartym
prawie oddechem śledząc jakiś punkt w stronie,
skąd sygnalizowano. Za pierwszą wystrzeliła druga
rakieta, za nią trzecia, czwarta i piąta. Więcej
nie ukazało się już na ciemném tle nieba. Głęboki
oddech podniósł pierś Starhenberga.

— Bogu niech będą dzięki! — rzekł głęboko
poruszony. — Te pięć rakiet, moi panowie, przy-
noszą nam wesołą nowinę rychłej pomocy. Ozna-
czają one, że posłaniec mój szczęśliwie dostał się
do obozu Lotaryńskiego księcia, że Kahlenberg
znajduje się w rękach naszych i że część cesar-
skiej armii przeszła właśnie przez Dunaj. Odwagi!
Najdalej w tygodniu Wiedeń będzie oswobodzony!
— Podniósł się, chcąc iść. — Uważajcie tylko,
moi panowie, — dodał do adjutantów — czy nie
będzie jakiego sygnału o północy. Jeżeli o tym
czasie z Bizambergu ukaże się rakiet dwanaście,
oznacza to, że król polski złączył się z księciem
Lotaryńskim. A wtenczas: Gloria in excelsis Deo!
Jeżeli panowie zobaczycie te sygnały, zameldujcie
mię zaraz! —

To mówiąc, Starhenberg opuścił wieżę św.
Szczepana — adjutanci zostali. Powróciwszy do
domu, rozkazał rozgłosić po całym mieście wesołą
wieść o bliskim oswobodzeniu miasta. Radość
była powszechna, ale zapał i szal prawdziwy opa-
nował wszystkich, gdy dowiedziano się, że już
i król polski złączył się z księciem Lotaryńskim.
O północy bowiem istotnie dwunastu rakietami
sygnalizowano z Bizambergu połączenie się Sobie-

skiego z księciem Lotaryńskim, Karolem, niegdyś współzawodnikiem Sobieskiego do korony polskiej, mężem królowej Eleonory, wdowy po królu Michale Korybucie.

IX.

Sobieski osobiście przybył pod Wiedeń, chociaż zrazu nie chciała wierzyć temu Europa.

Posel francuski przy dworze Sobieskiego, margrabia de Vitry, donosił swemu panu Ludwikowi XIV., że Król już zanadto podeszły wiekiem, że zbyt jest ociężały, by mógł dosiąść konia i poprowadzić wojsko na tak daleką wyprawę, i Ludwik XIV. upewniał też Turków i Kara Mustafę, że Sobieski osobiście przeciw nim nie ruszy, a tego lękał się najwięcej Wielki Wezyr i jego wojsko, groźnym bowiem był dla Turków geniusz wojenny króla, imię jego samo było dla nich postrachem.

Kara Mustafa ukołysany zapewnieniami Francyi, leniwie prowadził oblężenie. Pewny, że Wiedeń musi się stać jego zdobyczą, nie chciał, aby nagromadzone skarby cesarskiego dworu, szlachty, duchowieństwa i mieszczan zostały zniszczone przy gwałtownym szturmie. On pragnął cały łup i nie zniszczone całe miasto dostać w swoje ręce. Przypuszczał więc częściowe szturmy i podsuwał się coraz bliżej pod mury, robił podkopy, podkładał miny, wysadzał w powietrze baszty i mury, dniem i nocą rzucał ogniste kule na miasto, by je do poddania się zniewolić. Tymczasem sam oddawał się w obozie

najwyszukańszym zabawom, zbytkom i rozpuście. Tymczasem na wezwanie cesarza gromadziły się posiłki Niemieckiej Rzeszy. Zbierali swe wojska niemieccy książęta, a Hiszpania, Sabaudya, Włochy i Papież składali pieniądze na potrzeby wojenne; papież tak dalece okazał się gorliwym, że pozwolił na sprzedaż dóbr duchownych we Włoszech i cesarstwie. Zbierała się szlachta, zwłaszcza francuska, pomimo stawianych przez Ludwika XIV. przeszkód, pod chorągwie księcia Lotaryńskiego, między innymi przybył Eugeniusz, książę Sabaudzki, jeden z największych wodzów późniejszych czasów. Mimoto siły księcia Lotaryńskiego i spieszących z pomocą cesarzowi książąt Rzeszy niemieckiej, były za szczupłe do niesienia Wiedniowi skutecznej pomocy; i gdyby nie król nasz polski, Jan III. Sobieski, ta garść nie wyćwiczonych w boju z Turkami żołnierzy niemieckich, byłaby musiała ugiąć karku pod jarzmem islamu. Sobieski miał być ich zbawcą, bo on sam jeden, jakto pisał książę Lotaryński, »starczył za całą armię«, »oprócz niego nie ma nikogo w Europie, coby zdołał zrównoważyć liczbę nieprzyjaciół, wskazać drogę do zwycięstwa i uratować cesarstwo.«

Sobieski więc jak wiemy ruszył w drogę — zostawiliśmy go w Gliwicach. Sprawą zajął się całém sercem. Na Ukrainę posłał po zaciąg Kozaków, na których, że na czas nie przyszli, tak utyskiwał później za Dunajem, kędy mu ich najbardziej potrzeba było; obronę od granic Węgierskich obmyślił, osadzając zameczki i przesmyki górskie załogami, a Tökelymu przesławszy pogrózkę, że za jeden dach spalony w Polsce, poszedłby osmalić go w Węgrzech, jak niegdyś Jerzy Lubomirski, osmalił Rakoczego w Siedmiogrodzie.

Zarząd wewnętrzny kraju (Polski), o ile od władzy królewskiej zależał, zdał król na Radę senatorską, w Krakowie wraz z Królową i Dworem pozostawać mającą, a najwyższą komendę nad obroną kraju zdał na Andrzeja Potockiego, kasztelana krakowskiego.

Na wyprawę zabierał też król i najstarszego, w 16. podtenczas roku życia będącego syna, Jakóba, zdaje się na jego własną prośbę, aby go zawczasu do spraw wojennych zaprawić. Zresztą i król sam nie wiele starszym będąc, zawód rycerski był rozpoczął, bo w 19. r. życia wiódł rotę pod Zborowem, a w dwudziestym odznaczył się już pod Beresteczkiem. Młody też królewicz nie zawiódł oczekiwań ojcowskich i ani miękko, ani trwożliwie odbył tę kampanię; przeciwnie z Gór Tarnowskich aż nad Dunaj zawsze wraz z ojcem konno (a kareta za nimi szła próżna), i potem w bitwach ciągle przy boku ojca, na krok go nie odstępował i pochwałę odwagi sobie zjednał. Spisywał też młody królewicz dziennik tej wyprawy w łacińskim języku, któryto dziennik zachował się do dziś dnia w oryginale i jest w Muzeum ksks. Czartoryskich.

Prócz tego dowodzili pod królem dwaj hetmani koronni, Jabłonowski i Sieniawski.

Z Gliwic ruszył król przez Rudy do Raciborza na Szląsku, gdzie stanął d. 24. sierpnia. Tu odłączył się król z lekkim oddziałem od całego wojska i pospieszył naprzód. Powodów ku temu miał dwa główne: raz usilne zaproszenie księcia Lotaryńskiego, aby czém rychlej osobą swoją przybywał; drugi niepokój, aby hetman Sieniawski po dwakroć przez księcia Karola wzywany, nie połączył się wpierw sam z wojskiem cesarskiem

i by po takim połączeniu nie przedsięwzięto czego mniej rozważnego, nie czekając na króla i resztę wojska.

W Raciborzu więc z tych powodów opuścił król wojsko cięższe, pozostawiając je pod wodzą hetmana, a sam z lekkim podjazdem w liczbie 3000 ludzi ruszył naprzód pochodami przyśpieszonymi. Dziennie robiono po 5—6 mil drogi, a wszędzie przyjmowano go uroczyście, na co sam w listach do Marysienki narzeka, że mu to czas niepotrzebnie zabiera. Wogóle od Raciborza aż do Hollabrun, gdzie się już z księciem Lotaryńskim połączył, przebiegł król w przeciągu 7 dni z całym swym oddziałem przestrzeń 34 milową. Dnia 26. sierpnia stanął król w Ołomuńcu, 29. w Brunie a 30. pod Dürnholz. Z Dürnholz uczynił król wycieczkę do Nikolsburga, miasteczka już nad granicą Morawy a Austrii leżącego, gdzie zastał Sieniawskiego.

W kwandrans po tém złączeniu przyjechał niespodzianie książę Lotaryński z nader skromną świtą. Król przyjął go przed uformowaną w momencie husarską chorągwią hetmana polnego. Książę o kilkadziesiąt kroków już zsiadł z konia i pieszo szedł ku królowi, który życzliwie go pozdrowił. Potem obaj jechali razem na czele wojska aż do Holbrun. Tam przyjął król księcia bankietem. Radość była ogólna; biesiadnicy podochocili sobie od serca.

W godzinę po księciu Lotaryńskim przyjechał także książę Waldek i inni dostojnicy, składając królowi hołd przynależny.

W Holbrunie, już tylko o jeden dzień drogi od Dunaju, pozostał król z oddziałem swoim przez

dwa dni, 1. i 2. września, oczekując nadejścia wojska głównego pod Jabłonowskim. Deszcz też ulewny, który padał przez całą noc z 1. na 2. i przez cały dzień 2. września, przeszkodził tak dalszemu posunięciu się króla ku Dunajowi, jak też zapewne rychlejszemu przybyciu reszty wojska pod Jabłonowskim. Tu 2. września poraz drugi odwiedził króla książę Lotaryński, przynosząc niepomyślne wiadomości od strony obleżonej. Król nie chciał więc dłużej czekać i 3. września posunął się z swym oddziałem do Stetteldorfu nad Dunaj, tuż już naprzeciw Tulny i tam do zamku hrabiego Hardeka zwołał Radę wojenną. Wzięli w niej udział najwyżsi dowódcy i dostojnicy wojskowi: prócz króla Jana III. i księcia Lotaryńskiego, książę elektor saski, dwu jego krewnych Lawenburg i Gota, Eysenach, Markgraf von Baden, Prezes Rady wojennej cesarskiej, Ludwik de Baden, książę Waldek, Degenfeld, generał wojska bawarskiego, Goltz, generał wojska saskiego, książę Salm i wielu innych dostojników. Jednogłośnie na zebraniu tém oddano naczelne dowództwo nad całą chrześcijańską armią naszemu królowi. Po-
 stanowiono również, że 7. września wszyscy razem staną na tamtej stronie Dunaju. Naprzód miały przeprawiać się wojska polskie, za nimi cesarskie. Król nie próżnował ani chwili; nakreślił zaraz plan całej batalii, szyk bojowy i podał wskazówki, jak mają zachowywać się w marszu i jak iść na Turczyną. Król także miał oznaczyć dzień bitwy, czego jednak naprzód nie mógł uczynić, dopóki wojska szczęśliwie stanowiska swe nie zajęły.

Tymczasem kiedy na zamku Stettendorfskim radzono, wojsko polskie główne pod Jabłonowskim

nadciągnęło za królem. Nakoniec d. 5. września stanęło wojsko polskie całe i połączone nad Dunajem, ze wszystkich sprzymierzeńców najpierwsze. Ogółem polskiego żołnierza było 34.400, tj. 21.260 koni i 13.140 piechoty. Usaryi było 35 chorągwi (3500 ludzi), pancernych 91 chor. (10.960 l.), arkebuzeryi 3 chor. (500 l.), jazdy lekkiej 34 chor. 2860 l.), dragonii 8 regimentów (3440 l.). Reszta piechota. Artyllerya koronna, pod wodzą znakomitego generała Kąckiego liczyła 30 dział polowych.

Po złączeniu się wojsk naszych z cesarskimi, nastąpił ich przegląd. Wojska polskie świetną swą zbroją i postawą, wzbudzały podziwienie, zwłaszcza zaś chorągwie husarskie.

I oto, wielkie strategiczne zwycięstwo odniesiono nad hardym Wezyrem. Wojsko polskie, bez wystrzału, bez straty jednego żołnierza, stanęło z nad Wisły nad Dunajem i z cesarskiem się połączyło.

Z kolei pozostawało do odniesienia dalsze także strategiczne zwycięstwo tj. przeprawa przez Dunaj. Dnia 6. września w poniedziałek, mimo chwiejności generałów i książąt niemieckich, którzy szybkości odradzali, wymawiając się na niewykończone mosty i możliwe ztąd niebezpieczeństwo, król ani chwili nie dał się zachwiać w swém postanowieniu i pierwszy ruszył na przedzie. Dzień był tak gorący, że błota dunajskie wyschły do połowy i przejście ułatwiły. Nad wieczorem cała już armia polska była po drugiej stronie Dunaju. Następnego dopiero dnia odważył się przeprowadzić książę Lotaryński. Dnia 8. przeprowiła się reszta wojsk niemieckich: saskie, bawarskie i waldeckowe.

Oto drugie z rzędu zwycięstwo! Przeprawa przez Dunaj dokonana, wojska chrześcijańskie tuż prawie pod bokiem nieprzyjaciela zgromadzone i w szyk już bojowy sprawione! A to wszystko znowu bez wylewu krwi, bez wystrzału. Książęta i generałowie winszowali i dziękowali ze łzami w oczach królowi, a król rzekł do nich z uśmiechem: — Panowie! wódz, który stojąc na czele 300.000 wojska, pozwolił nam przejść przez Dunaj i most sobie pod nosem dał postawić, musi być pobity! —

Dnia 9. września ruszyła cała armia chrześcijańska, złączywszy się jeszcze z sławnym elektorem bawarskim, Maksymilianem Emanuelem, wprost ku Tulnowi. Siła jej wynosiła 70.000 ludzi. Jeszcze nigdy król Sobieski nie widział się na czele tak pięknego i liczego wojska. Obie armie oddzielało od siebie pasmo gór wysokich, które ścieląc się łagodnie ku Tulnowi, przeciwnie od strony Wiednia opadając ciasnymi wąwozami, głębokimi dolinami i pełne obalonych kłód i skał, u szczytu porośnięte wielkim lasem, stanowiły na pozór zapórę nie do przebycia; tak też sądził Kara Mustafa i nie obwarował obozu od strony Kahlenbergu tak jak z innych stron. Chcąc dotrzeć do miasta, można było puścić się gościńcem prostym, prowadzącym z Klosterneuburga wzdłuż brzegów Dunaju, lecz gościniec ten w niektórych miejscach tak był ścieśniony korytem rzeki i wiszącymi nad nią górami, iż niemożnaby inaczej nim postępować, jak tylko bardzo wąską kolumną, bez możliwości rozwinięcia jej przy wyjściu z wąwozów Nussdorfu. Dunaj skręca się tutaj nagle w prawo i widać Wiedeń jakby na dłoni; lecz część pasma gór poprzeczna głównemu ich pasmu, obwarowana była

szańcami i działami Turków tak, że wychodzące z Nussdorf kolumny wojska musiałyby się koniecznie rozbić o te warownie tureckie. Sobieski, który bystrem okiem doświadczonego wodza zbadał i ocenił całe położenie obozu tureckiego, uznał, że atak z téj strony przedsięwzięty jest niemożliwy i oto geniusz jego zdobył się na krok tak śmiały, jakiemu równego historya wojen niewiele przedstawia: postanowił on z armią swoją wspiąć się na Kahlenberg i przez spadziste i ciasne wąwozy, wśród lasów bezdrożnych, jak grom spaść wprost z gór na nieprzyjaciela i uderzyć na obóz od strony, z której się go najmniej Turcy spodziewali. Kara Mustafa oczekiwał ataku wojsk chrześcijańskich albo od drogi prowadzącej z St. Poelten, którą silnie obwarował, lub też ze strony Dunaju naprzeciw Prateru. Tymczasem armia chrześcijańska wspinała się na góry. Trzy dni trwało przejście w poprzek gór, kilka tysięcy chłopów karczowało lasy dla utorowania drogi postępującemu z tyłu wojsku. Polacy szli ciągle przodem, piechota niosła na barkach swoich działa i amunicją, liście drzew stanowiły jedyny pokarm koni. Król mimo niesłychanych trudów i niewygód, jakie musiał ponosić, był wesół i z pewnością siebie utrzymywał odwagę. Król jechał otoczony strażą przyboczną, złożoną z samych Jańczarów tureckich, których w dawniejszych bitwach był ujął do niewoli. Dziwili się więc książęta, jak może powierzać osobę swoją straży złożonej z Turków, gdy właśnie przeciwko ich współwyznawcom wyrusza. Sobieski na to oświadczył Jańczarom, że im daje wolność i pozwala złączyć się ze swymi braćmi, atoli oni rzucając się do nóg króla oświadczyli z płaczem, iż bez niego ani żyć ani umierać nie

mogą. Wierność ta i przywiązanie nawet muzułmanów do osoby królewskiej, wprawiła w podziw wodzów i wlała otuchę w serca żołnierzy.

X.

Nadszedł nareszcie dzień 12. września; był to śliczny poranek niedzielny, mogący więcéj jeszcze nadziei wlać w serca wojowników. Już od północy zajęły na Kahlenbergu stanowiska wojsko Austryackie z posiłkami króla polskiego i Niemców. U stóp zaś góry pod wałami Wiednia rozłożyło się obozem ogromne wojsko tureckie, broniąc wojskom chrześcijańskim przystępu.

Na szczycie góry Leopolda powiewała czerwona chorągiew z czerwonym krzyżem, a obok niej oczekiwała służba na swych panów i rycerzy, trzymając na pogotowiu do bitwy konie. Z pobliskiej kaplicy dolatywało echo organów. Zgromadzili się tam wszyscy dowódcy wyprawy, aby Boga prosić o zwycięstwo.

Na przestrzeni między wybrzeżem Dunaju a Klosterneuburgiem stało wojsko chrześcijańskie rozdzielone na trzy części. Na lewém skrzydle stał pułk kirasjerów a na czele pierwszego oddziału tegoż herkulesowej postaci jakiś starszy oficer; obok niego jechał na koniu młody człowiek bez hełmu i zbroi kirasjera, ale zaopatrzony tylko silnym i długim pałaszem i dzidą tkwiącą u siodła.

— Opowiadałeś mi o mojej żonie, od której doręczyłeś mi list, — mówił starszy oficer do swego towarzysza — i opowiedziałeś mi dokładnie

wewnętrzny stan Wiednia, ale nie wspomniałeś mi ani słówka, jak Ci się udało przejść przez obóz turecki! — To się da krótko opowiedzieć kapitanie Holten — rzekł Konrad, którego niezawodnie czytelnik łatwo w młodym rycerzu poznał. — Mówię po turecku i arabsku, błąkałem się dosyć po muzułmańskich krajach i nauczyłem się wiele zwyczajów i obyczajów tureckich. Łatwo też przyszło mi w obozie udawać Bośniaka, który jeszcze jako dziecko został rodzicom porwany i w Islamie wychowany. Opowiadałem, że jestem w usługach pewnego wyższego tureckiego oficera, że teraz szczęśliwie zdołał ująć z niewoli chrześcijańskiej do obozu, aby tu swojego pana odszukać. Bez podejrzenia przechodziłem od namiotu do namiotu i wszędzie zyskiwałem przychylną pokazywaniem rozmaitych sztuk, których się w moich podróżach od pewnego sztukmistrza nauczyłem. Nakoniec zaznajomiłem się z pewnym dozorcą koni, który pochodził z okolicy Wiednia i już kilka lat znajdował się w tureckiej niewoli. Namówiliśmy się tedy następnej nocy uciec, wzięwszy ku temu dwa najlepsze konie, jego opiece powierzone. Jednym z tych jest właśnie mój wierzchowiec. Szczęśliwie dostałem się z moim towarzyszem do Engersdorfu do wojska księcia. Oto krótka historia moich przygód. —

Właśnie Konrad ukończył swe opowiadanie, gdy pułk dostał rozkaz wolnego wymarszu do Grünzingu.

Na szczycie góry św. Leopolda ozwał się z kapliczki głos dzwonu, na znak, że msza już skończona. Otworzyły się jej drzwiczki a wielka liczba starszyny wystąpiła przed front wojska. Przodem szedł Sobieski król polski, który już

Turków raz pobił na głowę. Po prawicy bohatera postępował dumny książę Karol Lotaryński — a po za nimi książęta: bawarski i saski i margrabia Ludwik Badeński. Obok tego ostatniego szedł delikatny młodzieniec niepozornej postawy; był nim książę Eugeniusz Sabaudzki, który w późniejszych bitwach tak wielką zyskał sobie sławę. Daléj szli jeszcze: książę Wirtembergski i Waldecki i wielu innych znakomitych panów polskich i niemieckich. Na samym końcu orszaku postępował znajomy nam już mnich: Ojciec Marceli Ariano, spowiednik cesarza, który właśnie był mszę odprawiał.

Król Jan Sobieski wskoczył teraz na swego rumaka, otoczony liczną drużyną. Po ognistej przemowie do całego wojska, objechał cały plac bitwy, przyjmowany wszędzie dźwiękami muzyki wojennej. Wtém złocista rakietą kilku armatnich wystrzałów dała znak do rozpoczęcia bitwy. Pstre masy uzbrojonych rycerzy, piechota z swymi dzidami, strzelcy z muszkietami wprawieni zostali w nagły ruch i cała armia wojska przybyłego na odsiecz tj. prawe i lewe skrzydło uderzyło na wroga, stojącego w dolinie. Srodek stał pod dowódcwem księcia Waldek i Bawarskiego, książę Lotaryński dowodził lewém a król polski prawém skrzydłem.

Wśród grzmotu dział rzucili się Turcy na wojsko chrześcijańskie, a mianowicie zwrócili się przeciwko lewemu skrzydłu cesarskich i Sasów. Dwa razy zostali zapalczywi napastnicy odparci a gdy po raz trzeci ponowili swój napad, posłał margrabia badeński Ludwik naprzeciw nich oddział saskich dragonów, którzy zsiadłszy z koni, powstrzymywali dotąd nieprzyjaciela, dopóki nowe

posiłki piechoty nie nadeszły. — Wtedy uderzono na Turków z boku i odparto ich aż pod Döbling. Około godziny 2. po południu weszło w czynny udział bitwy także prawe skrzydło i środek chrześcijańskiej armii. Konnica polska lśniąc od pozłaczanych pancerzy rzuciła się przeciwko Turkom, jednak nie mogła ich silnego napadu odeprzeć. Już Kara Mustafa uważał się za zwycięzcę, gdy wtém Sobieski zawezwawszy niemieckie oddziały na pomoc, rzucił się z całą siłą na wroga, rozpaczliwy stawiającego opór. Chwilę słychać było tylko szcęk oręża i parskanie koni. W samym środku placu boju walczył kapitan Holten na czele swego oddziału kirasjerów. Rąbiąc dzielnie nieprzyjaciół, nie zauważył wcale, że niesiony przez swego wierzchowca, oddalił się nieco od swoich i przez Turków został otoczony. Dwóch z nich wymierzyło już nań swe ciosy, gdy w tém kilku rycerzy zobaczywszy w niebezpieczeństwie swego wodza, coprędzej przybiegli na pomoc utorowawszy sobie po trupach drogę a pierwszy z nich przeszył swym pałaszem jednego z napadających Turków, ratując tym sposobem swemu wodzowi życie. — »Dzięki Ci dzielny Konradzie! — zawołał Holten, poznawszy swego wybawcę i rozplatawszy czaszkę drugiemu wrogowi. Zwrócił konia przeciw nowo nacierającym nieprzyjaciółom — gdy wtém zobaczył jak koń Konrada postawiwszy dęba, upadł na ziemię przywalając jeźdźca swym ciężarem. Nim miał czas się rozglądnąć, już ciężka kawalerya kirasjerów wallońskich przewaliła się po upadłym jeźdźcu. — Biedny młodzieńcze — Bóg niech Ci będzie miłościw! — zawołał wzruszony kapitan — a zwróciwszy się przeciwko wrogom, krwawo pomścił na nich swego poległego zbawcę.

Książę Karol Lotaryński rozbiwszy zupełnie lewe skrzydło Turków dotarł do środka, gdzie się krwawa rozpoczęła bitwa. Już z rana, gdy Turcy rozpoczynali nowe napady na miasto, widzieli Wiedeńczycy na szczycie Kahlenbergu czerwoną chorągiew z białym krzyżem, i z tamowaniem niemal oddechu w piersi śledziło ruchy armii przybytej na odsiecz, później i z swęj strony kilkakrotne czyniąc wycieczki. Każde serce stawalo się odważném, na myśl, że Turek zwycięży — bo każdemu stał przed oczami okropny los miasta; było bowiem każdemu wiadome, że Kara Mustafa obiecywał je zrównać z ziemią. Około godziny 5. po południu walka była już rozstrzygniętą i dumny wielki wezyr widział ją już dla siebie za straconą. Złożył dowództwo i oddał je baszy Budy a sam pospieszył zebrać resztki swęj armii, stojące pod Laufgräben, aby choć oblężniczy obóz ocalić. Ale daremnie! Turcy straciwszy odwagę w ogólnym popłochu i ucieczce opuścili swoje stanowiska, zostawiając działa wraz z zapasami amunicyi na łup zwycięzców. Już o godzinie 6. stały konne oddziały armii zwycięzców pod murami stolicy i wśród odgłosu bębnów i trąb wjechał Margrabia Ludwik Badeński przez Rossau do Wiednia, aby jego mieszkańcom wesołą wiadomość o tak świetném zwycięstwie zwiastować. Z okrzykami radości przyjmowano wszędzie margrabiego — i Wiedeńczycy odetchnęli znowu swobodnie i spędzili po raz pierwszy znowu spokojną noc po 62 ciężkich dniach oblężenia. Na drugi dzień zrana pieszył każdy wielki i mały przez otwarte bramy do tureckiego obozu, aby zabrać obfite zasoby prowiantów, które tam Turcy zostawili. Znajdował się tu cukier, miód, ryż, kawa, mąka, zboże

i wielkie zapasy mięsa i bydła na rzeź, tak, że w oswobodzonem mieście, w którym dzień przedtem funt mięsa 1 złr. kosztował, teraz całego wołu za małą kwotę 4 złr. nabyć można było. Największy łup, namiot Kara Mustafy, dostał się królowi polskiemu. Z swymi bogatymi skarbami ceniono go na 2 miliony w złocie. Ale jeszcze cenniejsza zdobycz dostała się szlachetnemu hrabiemu Kolonicz. Mianowicie znalazł on w tureckim obozie około 500 biednych chrześcijańskich dzieci, których rodziców Turcy zamordowali. Przeniósł je natychmiast do miasta, gdzie znalazły uprzejme przyjęcie i staranną opiekę. Częścią swymi własnymi kosztami, częścią jego staraniem urządzonych składek starał się o przyszłość tych nieszczęśliwych sierót i kazał je wychowywać. Liczba bezbronnych mężczyzn, kobiet i dzieci, których Turcy na swojej wyprawie na Wiedeń pojмали w niewolę, miała wynosić około 87.000, a tylko nie wielu z tych nieszczęśliwych udało się znówu do ojczyzny powrócić.

Nazajutrz po bitwie, dnia 13. września, odbył król Sobieski wraz z księciem Lotaryńskim, saskim i bawarskim uroczysty wjazd do Wiednia i udał się do katedry św. Szczepana, gdzie wśród uroczystego głosu dzwonów i grzmotu dział odbyła się dziękczynna ofiara Bogu za świetne zwycięstwo. Następnego dnia powrócił także cesarz Leopold do stolicy. W jego otoczeniu znajdowała się także hrabina Franciszka Traunek. Jój pierwsze odwiedziny były u opiekuna biskupa Kolonicz; kilka jednak tylko słów zamienić z nim mogła, albowiem tenże przyjmował właśnie jeneralicyę, składającą mu gratulacyę godności kardynalskiej, do której go papież podniósł.

Dopiero od ojca Euzebiusza, który się w jednym z przedpokojów znajdował, dowiedziała się Franciszka, że jej obrońca Konrad, po owęj niebezpiecznej podróży, którą z hrabiną przedsięwziął, szczęśliwie powrócił. Mnich opowiadał dalej, swojej z natężoną uwagą słuchającej towarzysze, jak się młody wojownik podczas obrony miasta chlubnie odznaczył, jak ciężko raniony został a następnie aż do swego wyzdrowienia przez panią Holten pielęgnowany i jak nakoniec z zleceniem hrabiego Starhenberga niebezpieczną do obozu księcia Lotaryńskiego przedsięwziął drogę. O szczęśliwem przybyciu tamże Konrada miano także wiadomości; więcej nie wiedział jednakże ojciec Euzebiusz, co opowiedzieć, bo od tego czasu nie słyszał już nic o Konradzie, a podczas ostatnich dni był tak w przepełnionych szpitalach zajęty, że nie miał nawet czasu panią Holten odwiedzić. Więcej jak z jednego powodu udała się więc teraz młoda hrabina do téj macierzyńskiej przyjaciółki i po półgodzinnej drodze w towarzystwie kapucyna, leżała już w objęciach téj dobrej pani. Ku wielkiej swojej radości znalazła tutaj także jej małżonka, kapitana kirasjerów, który również szczęśliwie z placu boju powrócił. W najgorętszej bitwie został w prawe ramię raniony, a dla leczenia się z rany otrzymał urlop. Jakkolwiek szczęśliwą czuła się małżeńska para po długiem rozłączeniu, przecież poznać można było, że znajdowała się w jakimś mimowolném, ponurem usposobieniu, co téż nie uszło uwagi Franciszki, zaraz po pierwszym baczném spojrzeniu. Po długiem wahaniu, jak gdyby obawiała się odpowiedzi, odważyła się nareszcie o Konrada zapytać.

Kapitan wzruszył smutnie ramionami i podczas gdy żonie jego zakreśliła się łza w oku, rzekł niepewnym głosem: — Dzielny ten młodzieniec ocalenie mego życia w walce z kurdyjskimi jeźdźcami, przypłacił swoim własnym. Zaledwie mię ocalił, gdy musiałem patrzeć, jak kilka kroków odemnie upadł a setki koni przewaliły się po nim. —

— Miłosierny Boże! — zawołała Franciszka pobladła z przestachu i załamała ręce. — Rozgniewiony kopytami końskimi! — Biedny nieszczęśliwy Konradzie. —

— Zdawał się mieć przeczucie swój śmierci, — załkała pani Holten, bo odchodząc odemnie, napisał testament, który miałam ojcu Euzebiuszowi wręczyć, w razie gdyby . . . — Nie mogła skutkiem łez dokończyć — udała się tylko do przyległego pokoju i przyniosła zapieczętowany list Konrada. Milcząc oddała go do rąk kapucyna, w którego rysach głęboka przebijała się boleść.

— Mojemu kochanemu przyjacielowi, czcigodnemu Ojcu Euzebiuszowi — czytał ranich głośno zapis. — Po sprawdzeniu mojej śmierci, niech go otworzy on sam, albo najprzewielebniejszy biskup hrabia Kolonicz. — Otwórzcie list na moją odpowiedzialność, kochany Ojczel! — rzekł kapitan smutnie, gdy mnich wahajaco spoglądał. — Śmierć Konrada jest niestety aż zanedo pewną. Jeszcze tego samego wieczora, po bitwie, wysłałem kilku jeźdźców, na miejsce najkrwawszej z Turkami bitwy; znaleziono tam wprawdzie konia Konrada, przebitego dzidą, ale po nim samym nie było ani śladu. —

Mnich złamał więc pieczętkę, podczas, gdy z oka jego ciężka łza upadła. — Otóż — widzicie

łaskawa pani, — rzekł zwracając się do Franciszki — jest tu osobny list, adresowany do łaskawej pani hrabiny Franciszki Traunek. —

Franciszka chwyciła drżącą ręką podany jéj list. Ojciec Euzebiusz przebiegł szybko oczami swe pismo a potem rzekł: — Mój kochany przyjaciel pisze mi, co następuje, po łacinie: Gdy oko Twoje kochany Ojcie i przyjacielu spoczywa na tém papierze, serce moje już bić przestało. Przedkładam Ci tedy przyjacielską prośbę, abyś zawiadomił moich rodziców, że syn ich nieposłuszeństwo swoje naprawił szlachetném dążeniem, sprawie chrześcijaństwa na innéj drodze niż w klasztorze, stać się użytecznym i że w ostatniej chwili myśli swe pełne wdzięczności słał ku rodzicom, których przez swą ucieczkę z klasztoru Jezuitów zasmucił. — Moim ojcem jest rycerz Franciszek Enzberg na Schorndorfie, w usługach szlachetnego hr. Egona Fürstenberga. Mieszka na zamku Hirschstein nad Dunajem w książęcém hrabstwie Messkirch. A teraz bądź zdrów mój pobożny Euzebiuszu, złóż dobréj pani Holten, mojej dobrodziejce, moje ostatnie pozdrowienie i podziękowanie i wspomnij niekiedy o Twoim przyjacielu Konradzie Enzberg. —

— Oby dzielnemu młodzieńcowi ziemia lekka była! — szepnął kapitan. — Gdy będziecie kochany Ojcie do jego rodziców pisać, to przyłączycie także list odemnie, aby także od wojownika usłyszeli chwałę zmarłego. — Podczas tego Franciszka otworzyła także swój list, z którego obrączka jéj własnych włosów wypadła i łzawym głosem czytać poczęła:

— Czcigodna i droga panno! Gdym w lesie Waszą krwią broczącą głowę trzymał w mych

rękach, zrabowałem Wam ten zwój włosów. Ja kochałem Was i starałem się na polu walki uzyskać prawo, aby i Waszój miłości być godnym. Ale gdy włosy te znowu do rąk Waszych przechodzą, już Wasz wierny sługa legł pod ciosami, na które dobrowolnie się wystawił, aby stać się Was godnym i nieposłuszeństwo względem rodziców odpokutować. Bóg niech będzie z Tobą! Wspomnij czasem mile o biednym Waszym towarzyszu podróży Konradzie Enzberg Schorn-dorfie! —

— On już nie żyje! — zawołała Franciszka przegnębiona boleścią. — On był za szlachetny dla tego świata i dla mej przyczyny szukał śmierci! On był rycerskim człowiekiem — i nie potrzebował wcale starać wśród takich niebezpieczeństw o moją rękę, bo moje serce należało już do niego. Teraz jest już osierocone! —

Płacząc gorzko, upadła w objęcia pani Holten.

Nazajutrz udała się znów Franciszka do swego opiekuna, teraźniejszego kardynała Kolonicza. Wiedział on już, co znaczy jój żalobna suknia, bo Ojciec Euzebiusz opowiedział mu wszystko. — Smutek ten przynosi Twemu sercu zaszczyt, moje dziecko, — rzekł kardynał uprzejmym głosem, całując ją w czoło: — Zmarły był godzien Twych łez, bo szlachetniejsze serce pewnie nigdy nie biło pod mundurem żołnierza. Na moje hrabiowskie słowo, gdyby był żył, sam byłbym jego swatem względem Ciebie. —

— Cóż pocznę teraz — szepnęła Franciszka — oto pojdę do klasztoru dokończyć mego osamotnionego żywota. —

— Daj tym myślom spokój, moje dziecko — rzekł znowu kardynał — nie jesteś powołaną do tego, zupełnie jak i on. —

W téjże chwili zameldowano Ojca Euzebiusza, który się téż wkrótce ukazał. Zobaczywszy hrabinę, zawahał się nieco i zamilkł. Kardynał zauważył to, odszedł z nim przeto na stronę i nachylił się ku niemu. — Mnich szeptał mu coś do ucha. Niezwykła radość zabłysła w twarzy księcia kościelnego, gdy wysłuchał krótkiej wiadomości. Skinął ręką swój wychowanicy, jak gdyby ją przepraszał, że ją na czas jakiś samą zostawia i wyszedł z pokoju. Ojciec Euzebiusz pozostał przy Franciszce, aby ją powoli przygotować na przyjęcie niespodziewanej nowiny, której właśnie udzielił kardynałowi.

W przedpokoju stał młody człowiek z obwiązaną skronią. Miał na sobie polski kontusz a w rękę trzymał futrzaną konfederatkę.

— Przebaczenia! Eminencyo, jeżeli przeszkadzam — były pierwsze słowa Konrada, gdyż to on był właśnie tym młodym człowiekiem. — Kardynał przywitał przybyłego z prawdziwie ojcowską czułością, obejmując go z wzruszeniem w swe ramiona, poczem Konrad musiał mu swe przygody opowiedzieć. Po upadku z konia uszedł kilka kroków lekkie tylko czując skaleczenie, ale wskutek uderzenia kopytem przez innego przezeń przeskakującego konia, został ciężko w głowę raniony. Upadł bez przytomności. Gdy znów przyszedł do siebie, było już po bitwie. Z nateżeniem resztek sił zdołał się po długim czasie z pod swojego nieżywego konia wydobyć poczem z trudnością dowłókł się w stronę miasta, gdzie bezsilny upadł na ziemię. Tu znaleźli go polscy jeźdźcy, których

oficer zajął się nim i rozkazał go do polskiego polowego szpitala przenieść, kędy opiekowano się nim tak długo, dopóki jego siły nie pozwoliły mu udać się do miasta, odszukać swych przyjaciół i znajomych.

— Pozwól mi, mój synu, bym Cię godnie wynagrodził, — rzekł kardynał, gdy Konrad skończył swe opowiadanie.

— Jeżeli Eminencya cokolwiek dla mnie zechce uczynić — prosił Konrad, — to wystarajcie mi się o dyspensę papieża, albowiem uciekłem z klasztoru. —

— Za to ręczę Ci już — odpowiedział prałat. — Oprócz tego mam Ci wesołą nowinę od Twojej rodziny zwiastować. Gdym się wczoraj od Ojca Euzebiusza o Twojem właściwem nazwisku dowiedział, kazałem się zapytać, czy przy cesarskiem wojsku nie znajduje się przypadkiem choć jedna chorągiew Fürstenbergskich oddziałów. Było tak w istocie, i przysłano mi natychmiast oficera niejakiemu rycerza Kurta Troschheima. —

— Mojego wuja — zawołał Konrad.

— Rzeczywiście, przedstawił mi się jako taki — potwierdził kardynał. — Ale, Konradzie — Ty masz jeszcze siostrę? —

— Tak jest — Stefanię — o 2 lata młodszą odemnie. —

— Otóż, jak mi Twój wuj opowiadał, pobożna Stefania, której życzeniem już dawniej było wstąpić do klasztoru, uczyniła to teraz zamiast Ciebie i tym sposobem spełniła ślub Twój matki. —

— Dobra Stefania! — zawołał Konrad wzruszony. — Jakże wiele winien jój jestem. — W tejże chwili otworzyły się prędko drzwi przyległego pokoju

a w nich ukazała się hrabina Franciszka. Gdy bowiem ojciec Euzebiusz powoli oznajmił ję, że oplakiwany jako zmarły Konrad, żyje i nawet blisko niej się znajduje, nie mogła powstrzymać swęj niecierpliwości i z gwałtownością drzwi otworzyła. Naprzemian bladła i barwiła się świeżym rumieńcem jęj twarz, gdy lała łzy radości. Obydwoje stali naprzeciwko siebie niemogąc znaleźć wyrazów na rozpoczęcie rozmowy.

— Nie tamujcie biegu swym uczuciom, moje dzieci, — rzekł ksiązę kościoła z przyjemnym uśmiechem. — Ja wiem przecie dobrze, w jakim wasze serca są względem siebie stosunku. Pomyśl sobie, Konradzie, że ja zastępuję Twojego Ojca i pytam Ci się, czyś gotów jest życie swe hrabinie Franciszce poświęcić!? Cóżbyś Ty na to odpowiedział? —

— Eminencyo! — zawołał Konrad — jakżebym się odważył . . . —

— A więc spytaj się mojęj wychowanki — rzekł Kardynał — czy nie dałem jęj mojego hrabiowskiego słowa, że Ciebie z rąk moich otrzyma jako męża, jeżeli jeszcze żyjesz. Nie mówiłem tego Franciszko? Chyba, że chcesz mię kłamstwem ukarać? — dorzucił z uśmiechem na ustach. —

— O — nie! Boże zachowaj! — zawołała hrabina i rzuciła się w otworzone ramiona Konrada.

— Niechaj Bóg błogosławi wasz związek, moje dzieci, — rzekł wzruszony opiekun, kładąc swe ręce na głowy szczęśliwęj pary.

Kilka tygodni później został Konrad przez kardynała Kolonicza i hrabiego Starhenberga, który teraz do godności feldmarszałka podniesiony został, przedstawiony cesarzowi, ten bowiem czcząc wielkie zasługi walecznych żołnierzy, podnosił ich

do szlacheckiego stanu. Co niegdyś Konrad w fantazyi swój tylko roił, zamieniło się teraz w rzeczywistość; jego związek małżeński z hrabiną Franciszką został przez kardynała Kolonicza przed ołtarzem pobłogosławiony. Z ruin nowo powstającej stolicy zakwitło i szczęście w życiu młodej pary, u której dzieci i wnuków, imiona Koloniczów i Starhenbergów w tak miłym i wier-ném przechowały się wspomnieniu, jak ci z dziejami Wiednia, jakoby w jedną, nierozzerwalną całość spłynęli.



Dwa nowe tomiki (34 i 35) téj Biblioteki: **Nasze góry**, czyli malownicze op'sanie „**Karpat i Tatr**“, oraz ich mieszkańców. Skreślił Aleks. Borucki.



EDWARD FEITZINGER W CIESZYNIE (wyższa brama l. 240)

poleca:

Swiadcstwa nauki dla przemysłu i handlu, artystycznie litografowane, w formacie 42×53 cm. Cena sztuki 30 ct., 10 sztuk 2 złr. 50 ct., 100 sztuk znacznie taniej.

Podziały godzin dla szkół, wykonane bardzo pięknie, z pociesznymi rycinami po krajach, małe 1 sztuka 1 ct., 100 sztuk 50 ct., w formacie $25 \times 22\frac{1}{2}$ cm, z drukiem jednobarwnym, sztuka po 3 ct., 10 sztuk 25 ct. — *takowe z prześlicznym drukiem farb.* sztuka po 5 ct., 10 sztuk 40 ct., 100 sztuk jeszcze taniej.

Obrázky odejmujące, w książeczkach, zabawne zajęcia dla dzieci, 10 sztuk 10, 15, 20, 30 ct. do 75 ct., więcej sztuk taniej.

Obrázky pocieszne do składania lub złożenia, nowe, bardzo przyjemne zatrudnienie dla dzieci, 10 sztuk po 8 i 20 ct. więcej sztuk taniej.

Wzory do rysowania, 6 sztuk w jednej okładce 5 ct., 10 egzempl. (po 6 sztuk) 35 ct.

Desony w książeczkach, zawierające alfabety i wzory do haftowania w druku barwnym. Książeczki po 3, 5, 10 do 50 ct. subtelne do 1 złr.

Obrázky arkuszowe, w form. 34×42 cm: żołnierze — *obrazki szopkowe* — *do zbudowania* (mały architekt) — *do ubierania lalek* — *do postawienia i krajania* — *obrazki do malowania* — *zwierzęta* — *gry* — *teatralne obrazki* — *tarczowe* i wiele innych — *arkusz kolorowany* po 4 ct., 10 arkuszy 30 ct. — *arkusz czarny* po 3 ct., 10 arkuszy 20 ct., 100 arkuszy znacznie taniej.

Książki obrazkowe i inne zajęcia dla dzieci we wielkim wyborze.

Albumy świętych, książeczki z pięknymi kolorowanymi obrazkami. Cena egzemplarza od 4 ct. do 10 ct., a mianowicie: *Sw. droga krzyżowa* z modlitwami. — *Dwanaście apostołów.* — *Męka Pańska* w 12 obrazach. — *Życie Pana Jezusa.* — *Życie św. P. Maryi.* — *Cuda Jezusowe.* — *Stary zakon.* — *Ojciec nasz.* — *Tajemnice różańca.* Te pięknie wykonane tanie albumy poleca się każdemu katolikowi a szczególnie Wielebnemu Duchowieństwu. Przy odbiorze większej ilości daleko taniej.

Różne inne albumy z piękn. kolorow. obrazkami: *Obrázky wyobraźne*, małe po 4 ct., większe po 8 ct. — *Zwierzyniec*, 10 ct., *takowy elegancko opraw.* 25 ct. — *Wszystkie narody ziemi*, 10 ct., *eleg. opraw.* 25 ct. — *Atlas kieszonkowy*, 10 ct.

Nowe śliczne obrazki świętych, do książek modlitewnych.

Piękne bilety do powinszowania na: Nowy rok, urodziny i imieniny w cenie po 3 ct. do 1 złr. sztuka, *arkusze do powinszowania*, sztuka od 3 ct. do 30 ct. — *5 sztuk pięknych różnych powinszowań* w okładce 10 ct.

Nowy papier listowy dla żołnierzy. Każdy arkusz ozdobiony jest z kolorowan. ryciną z wojska austriackiego, sztuka po 2 ct., 10 sztuk z kopertami 25 ct.

Przepyszne książki z obrazkami

i inne zajęcia dla dzieci,

z nakładu **E. FEITZINGERA** w Cieszynie
do nabycia:

Mały Abecadlnik po 8 i po 10 ct. — *Dziecięca radość w obrazkach z wierszykami* 15 ct. — *Zabawa w obrazkach dla dzieci* 10 ct. — *Różne zwierzęta* 12 ct. — Ach! co za prześliczna książeczka z obrazkami i wierszykami 15 ct. — *Książeczka dla grzecznych dzieci* 15 ct. — *Uciechy dla małych dzieci* 12 ct. — *Elementarz z obrazkami* 18 ct. — *Moja najmilsza książeczka obrazkowa* 20 ct. — *Książeczka z obrazkami, na grubym papierze* 30 ct. — *Różne zwierzęta*, wyd. większe 30 ct. — *Rozmaitości w obrazkach dla grzecznych dzieci* 30 ct. — Trzy historyjki: *Karzątek*. — *Śnieżka*. — *Robinson*, egz. po 10 ct. — *Z życia zwierząt* 50 ct. — *Z życia dzieci* 55 ct. — *Opowiadania babuni* z 6 wielk. obraz. 55 ct. — *Uciechy i zabawy dziecięce* 55 ct. — *13 książek z bajkami w ozdobnych i sztywnych okładkach i z wielkimi obrazkami* egz. po 50 ct.: Nr. 1. *Kot w butach*. — Nr. 2. *Kopciuszek*. — Nr. 3. *Białośnieżka*. — Nr. 4. *Jaś i Marychna*. — Nr. 5. *Siedm kruków*. — Nr. 6. *Nosiwoda*. — Nr. 7. *Głupi Janek*. — Nr. 8. *Śpiąca królewna*. — Nr. 9. *Kalinka*. — Nr. 10. *Król żab*. — Nr. 11. *Czerwona czapeczka*. — Nr. 12. *Tomcio paluch*. — Nr. 13. *Chytry lis*. — *Zwierzyniec dla grzecznych dzieci* 50 ct. — „I—X.“ *Początek rachunkowy w obrazkach* 55 ct. — *Prześliczna książka obrazkowa dla naszej miłej dlatwy* 85 ct. — *Książeczka z obrazkami do nierozdarcia* 85 ct. — *Obrazki dla grzecznych dzieci*, bardzo piękna książka obrazkowa 1 złr. — *Rozrywki dla grzecznych i miłych dzieci* 1 złr. — *Brr! znów inny obrazek (Charivari)*, z obrazkami łądzącymi 85 ct. — *Czarodziejska książeczka (Le livre magique)* z obrazkami łądzącymi dwa numera każde po 75 ct. — *Robinson Kruzoe*, czyli przygody rozbitka 50 ct.

Mała szkoła malarstwa, po 10, 15, 20, 30 ct. — *Mały artysta*, 48 wzorów rysunkowych 65 ct. — *Pierwsza tabliczka łąpkowa* (książeczka z papieru łąpkowego) z wzorami do rysowania 36 ct. — *Nowe wzory do rysowania na tabliczce łąpkowej* 60 ct. — *12 tablic plecionek Fröblowskich*, przyjemna i pożyteczna rozrywka dla dzieci 1 złr. 40 ct. — *Plecionki Fröblowskie*, pożyteczna i przyjemna rozrywka dla małych dzieci 1 złr. 40 ct. — *Siedm rozmaitych gier dzieciennych i towarzyskich* 60 ct. — *Loteryjka domowa w pudełce* 85 ct. — *Dzwonek i młotek* po 25, 50 i 75 ct.

Sprzedawcom daje się znaczny rabat.

Następujące dziełka znajdują się teraz w nakładzie
Edwarda Feitzingera w Cieszynie i są do nabycia:

Cudowne nawrócenie dwóch wielkich pijaków. Opisał
X. Janicki. Cena 10 ct. = 15 fen.

Cyganki. Komedvjka w jednym akcie przez Paulinę z L.
Wilkońską. Cena 12 ct. = 20 fen.

Dwa śluby. Powieść Pauliny z L. Wilkońskiej, z dodatkiem
powiastki „Próżność ukarana.“ Cena 65 ct. = 1 Marka.

Dwie powiastki: 1. Śpilka Miss Nelly. Nowella.
II. Powieść o minionem szczęściu przez Teresę Radońską. Cena
45 ct. = 75 fen.

Nasze Paryżanki. Komedya w 5 aktach. Cena 65 ct.
= 1 Marka.

Prima Aprilis. Komedya w jednym akcie przez Paulinę
z L. Wilkońską. Cena 38 ct. = 60 fen.

Wydania Józefa Chociszewskiego:

Lilie i paprocie, druga część „Róż i Niezapominajek“.
Książeczka dla serc kochających i szczególnie dla narzeczonych
z 10 obrazkami. Cena 40 ct. = 70 fen.

**Podręcznik do pisania listów, w którym wyłożona jasno
i treściwie nauka o pisanii listów, oraz podane liczne wzory tychże,
jako też kwity, rewersy, rachunki, przepisy pocztowe, wpisy do imien-
ników i t. d., z dodatkiem listownika dla dzieci.** Cena 65 ct. = 1 Marka
w oprawie 1 zlr. = 1 Marka 75 fen.

Pokłosie. Zbiór pouczających i ciekawych opowiadań,
powieści, wierszy i t. d. jak np.: Lampa czarodziejska; wspomnienie
o Krakusie, Wandzie i Piaście; życiorys Dezyderego Chłapowskiego
i t. d. Z 12 obrazkami. Cena 35 ct. = 50 fen.

**Polska Sybilla, czyli zbiór objawień, proroctw i przepo-
wiedni, tyjących się mianowicie kościoła katolickiego, Polski i Śło-
wiańczyny.** Nowe pomnożone wydanie. Cena 1 zlr. 60 ct. = 2 Marki
50 fen.

Powieści i podania ludowe. Cena około 40 ct. = 70 fen.

Przepowiadacz pogody i niepogody. Cena 12 ct. = 20 fen.

Skarbezyk poezyi polskiej. Cena 48 ct. = 75 fen.

**Spiący biały orzeł, czyli proroctwo starego pustelnika
z gór karpackich.** Dodane inne ważne proroctwa o naszej kochanej
Ojczyźnie Polsce a mianowicie trzy przepowiednie Ojca św. Cena
20 ct. = 30 fen.

Śpiewy historyczne J. N. Niemcewicza. Nowe poprawione
wydanie. Cena 60 ct. = 1 Marka.

**Stuletni kalendarz, zawierający kilkadziesiąt rycin, oraz
pouczające artykuły w duchu religijno-moralnym.** Część kalendarska
będzie obszernie wyłożona, tak że z tego powodu kalendarz Stuletni
stanowieć będzie dopełnienie do każdego kalendarza. Z innych arty-
kułów uwagi godne: O obowiązkach narodowych, o wychowaniu
dzieci, piękne przykłady czci rodzicielskiej, przytem ciekawe opisy
uaukowe, powieści, wiersze i wesołe opowiadania a zarazem wiele
pożytecznych wiadomości gospodarczych. Cena 50 ct. = 80 fen.

W nakładzie Edwarda Feitzingera w Cieszynie (Śląsk austr.) wyjdzie około 20 tomik. zawierając „*Dobre powieści z pism Ks. Kan. Krzysztofa Szmidy*“, opracowane przez **Józefa Chociszewskiego**, na które się już teraz łaskawą uwagę zwraca.

Cena tychże będzie pomimo ięknęj oprawy, bardzo tania.

Dalęj wyszic tego samego nakładu:

Fr. Hermana „Ogólna Dydaktyka i Pedagogika,“

przewodnik do skutecznego sprawowania urzędu nauczycielskiego przy szkołach ludowych wszelkiej kategorii, opracowane, uzupełnione i licznymi scholiami ozdobione przez **Izydora Poechego**, kierownika szkoły w Dąbrowie. Doskonałość oryginału uznana jest przez Nauczycielstwo od wielu lat, a opracowanie w ojęzystym języku umiejętnie i sumiennie dokonane.

Całe dzieło podzielone jest na cztery główne części, zawierające: nauczanie, wychowanie moralne, wychowanie fizyczne, nauczyciel, jego własności i obowiązki, a jak tłumacz w przedmowie słusznie nadmienia, zawiera wiele prawd i wskazówek z życia szkolnego, trafnie zebranych, które początkującemu nauczycielowi mogą służyć na wzór, jak w swęj praktyce ma postępować z wychowaniem dziatwy szkolnęj.

Cena 1 zlr. 38 ct., franko pod opaską 1 zlr. 48 ct.

Wyborne książki do nabożeństwa,

które w różnych oprawach, tak od najpojędyńszęj w skórcie aż do najeleganokięj, n. p. w kość sionową, masę perłową, aksamit, róg bawoli itd. do nabycia są u

Edwarda Feitzingera w Cieszynie.

W klamercie podana cena sklepowa znaczy tę książkę, stósownie jęj wartości w oprawie najtańszęj.

Anioł stróż. (60 ct.) — **Bądź wola twoja.** (2 zlr. 80 ct.) — **Bóg mój,** wydanie zwyczajne. (2 zlr. 13 ct.) — **Bóg mój,** wydanie lepsze. (2 zlr. 60 ct.) — **Bóg nadzieja nasza.** (2 zlr. 63 ct.) — **Cicha łza.** (2 zlr. 63 ct.) — **Grono winne.** (93 ct.) — **Książeczka do nabożeństwa.** (58 ct.) — **Manna,** zawierająca stacye, gorzkie żale i nieszpory na cały rok. (73 ct.) — **Ołtarzyk polski** (Behr, Berlin) wydanie dla kobiet. (2 zlr. 25 ct.) — **Ołtarzyk polski** (Behr, Berlin) wydanie dla mężczyzn. (2 zlr. 25 ct.) — **Ołtarzyk** czyli zbiór nabożeństwa (Foltin, Wadowice). (73 ct.) — **Wiara, nadzieja i miłość,** wydanie lepsze. (2 zlr. 82 ct.) — **Wielbij duszo moja Pana.** (2 zlr. 63 ct.) — **Wybór nabożeństwa.** (58 ct.) — **Wyborek nabożeństwa.** (45 ct.) — **Zdrowaś Marya.** (1 zlr. 85 ct.) — **Złoty ołtarzyk dla małych dziatek** (Orgelbrand, Warszawa) wydanie zwyczajne. (43 ct.) — **Złoty Ołtarzyk dla małych dziatek** (Orgelbrand, Warszawa) wydanie lepsze. (1 zlr. 6 ct.) — **Zmij się nad nami.** (70 ct.) — **Mały wybór nabożeństwa dla dzieci.** (18 ct.) — **Ołtarzyk polski katolickiego nabożeństwa.** 513 str. Z oprawą w skórkę (1 zlr. 80 ct.) **Złotobrzeg** (1 zlr. 80 ct.) **Z okuciem** (3 zlr. 20 ct.) — **W aksamit** (3 zlr. 80 ct.) — **Książeczka do nabożeństwa dla młodzieży.** Opr. 40 ct. **Złotobrzeg** (75 ct.) — **Wiara, nadzieja, miłość.** Książka do nabożeństwa, ułożył J. Chociszewski. 564 str. Zwyczajna oprawa (1 zlr.), złotobrzeg (1 zlr. 50 ct.), z okuciem (3 zlr. 20 ct.) — **Janusz,** kancyonał katolicki, wielki. (3 zlr.) — **Zmijka,** kancyonał katolicki, mniejszy. (1 zlr. 50 ct.) — **Śpiewnik kościelny.** (66 ct.)

Dokładny katalog przesyła się na żądanie franko.

===== **Sprzedawcom rabat.** =====

- Tom 18. *Aleksander książę bułgarski*, bohater i obrońca wolności. Dokładna historia jego życia i działalności: z dodatkiem wiernego obrazu Bułgarii i Bułgarów.
- Tom 19. *Doktor Jan Faust*, słynny czarnoksiężnik. Jego życie, sprawy, wędrówka do piekła i humorysty.
- Tom 20. *Turcy pod Wiedniem*. Opowiadanie historyczne z czasów oblężenia Wiednia przez Turków w r. 1683.
- Tom 21. *Piękna Magelona* i hrabia Piotr z Prowancyi z srebrnymi kluczami.
- Tom 22. *Historja o siedmiu mędracach*. Bardzo zajmująca i powabna powieść dla młodych i starych.
- Tom 23. *Robert Djabeł*. Nietylko straszna, ale także zabawiająca i pouczająca powiastka z przeszłości. Podług starych dokumentów na nowo przerobiona i wydana.
- Tom 24. *Wilhelm Tell* i jego sprzymierzeńcy, albo: Oswobodzenie Szwajcarii. Opowiadanie z średnich wieków.
- Tom 25. *Dziewica Orleańska*. Opowieść historyczna z zamierzonych dziejów Francji.
- Tom 26. *Książę Eugeniusz* prawy rycerz. Opowieść historyczna.
- Tom 27. *Młyn djabelski* na Górze Wiedeńskiej, czyli rycerz Ginter z Szwarzenau. Ciekawa powieść dla młodych i starszych.
- Tom 28. *Echo z Afryki*. Pamiętnik wędrowca. Napisał Aleksander Borucki.
- Tom 29. *Szkice z życia zwierzęcego*. Skreślił dla młodzieży i ludu Aleksander Borucki.
- Tom 30. *Bliźnięta*. Historia wyjęta z życia ludowego.
- Tom 31. *Dwie nowe powiastki dla dzieci*. Przełożone z niemieckiego. 1. Wolny strzelec. 2. Białe widmo na zamku Avenel.
- Tom 32 i 33. *Józef Ignacy Kraszewski*. Jego życie i zasługi (z ryciną). Skreślił Aleksander Borucki. Ten tomik podwójny z 144 stron., jest na pięknym papierze drukowany i opatrzone dobrze udanem portretem Kraszewskiego. Cena 40 ct.

II. Serya w okładkach z przepysz. kolorowanemi obrazkami.

Cena każdego dziełka 20 ct. = 35 Pf.

- Tom 200. *Śnieżny grób w Sierra*, czyli zagłodzenie w srebrnej minie.
- Tom 201. *Porwane dziecko*. Opowiadanie z Turcji.
- Tom 202. *Kama Samojedka*. Opowiadanie historyczne.
- Tom 203. *Jeniec Szykitów*. Powieść z życia indyjskiego.
- Tom 204. *Mareipotama*, córka pampasów. Opowiadanie z kraju Indyan.
- Tom 205. *Wielkie skarby złota w Sierra Nevada*.
- Tom 206. *Na granicy Indyan*, czyli bezpieczna ręka. Powieść Meksykańska.
- Tom 207. *Kolonści u źródeł rzeki Susquehannah*.
- Tom 208. *Harold, król cyganów*, czyli Skrzypce Edeleńskie. Opowiadanie z Węgier.
- Tom 209. *Skalpięcze południowej Ameryki*, czyli na wyspach rzeki Urugway. Opowiadanie z kraju Indyan.

Dalsze ciekawe dziełka wyjdą wiaź.

Nakładem Edwarda Feltzingera w Cieszynie (Szląsk austr.)

wyszły i są do nabycia następujące

„Książeczki ludowe“

w okładkach z przepysznemi kolorowanemi rycinami.

Tom 400. *Dokładna rozmowa kwiatami*, poświęcona miłości i przyjaźni. Cena 20 ct.

Tom 501. *Niezapominajki*. Wybór najlepszych wierszy do imionnika. Cena 20 ct.

Tom 502. *Zbiór dobranych powinszowań* wierszem i prozą dla dzieci i dorosłych, na wszelkie przygody i sposobności życia ułożone. Cena 35 ct.

Tom 503. *Książeczka o dobrych zwyczajach towarzyskich*. Cena 40 ct.

Tom 504. *Zwyczajna kuchnia domowa*, obejmująca przepisy potraw kucharskich. Cena 40 ct.

Tom 505. *Najnowszy i najdokładniejszy Sekretarz zakochanych i narzeczonych*. Z dodatkiem: Pieśni miłosne, wiersze do imionnika i t. d. Cena 60 ct.

Tom 506. *Czarnoksiężnik Bosko*, czyli najbogatszy zbiór najciekawszych sztuk magicznych i kuglarskich do wykonywania łatwo i tanim kosztem. Z ilustracyami. Cena 20 ct.

Tom 507. *Toast polski* wierszem i prozą, czyli zbiór mów przy uroczystościach wszelkiego rodzaju, jako to przy weselach, ważniejszych zebraniach, przy obchodach jubileuszowych i t. d. Cena 50 ct.

Tom 508. *Polski śpiewnik*, czyli zbiór 200 aryj i dumeek narodowych, krakowiaków, kujawiaków, pieśni weselnych i t. d. Cena opr. 50 ct., w eleganckiej oprawie w płótnie pościłe 80 ct.

Starosta weselny czyli zbiór mów używanych przy weselach u ludu polskiego na Szląsku austriackim. Z obrazkiem: Wesele wiejskie. Cena 25 ct.

Sennik egipski, prawdziwy i istotny. Podług egipskich i arabskich zaświadczeń oraz liczb na loteryę stawiać się mających z dołączeniem o własnościach planet i grze loteryjnej. Cena 30 ct.

Szybkorachmistrz czyli Przewodnik rachunkowy. Niezbędnie przy kupnie i sprzedaży potrzebny, obliczony w walucie austriackiej, od 1 do 100 sztuk, od $\frac{1}{2}$ aż do 99 ct. w. a. Z dodatkiem zawierającym tabele przemienienia nowych miar i wag na stare i odwrotnie, jakoteż odmiany cen i licznych innych pożytecznych tabel. W formie kieszonkowej. Opr. Cena 50 ct.

Proroctwo królowej Michalidy ze Saby. Cena 20 ct.

Loteryjka domowa, dla zabaw urządzona, zawierająca w sobie 12 tablic numerowanych od 1 do 90, tak samo od 1 do 90 galeczek, wraz z woreczkiem i 200 do 300 szkiełkami zaopatrzona, w gustownem pudełku. Cena 85 ct.

Egipska hejromantya, czyli sztuka przepowied. z linii na ręce. Zupełnie pewna wskazówka do odgadnienia przyszłości. Cena 20 ct.

Kabała moralna, czyli mądrości Salomona. Tajemnice przyszłości. Cena 10 ct.

Wyrok na śmierć. Powieść dla katolików. Cena 6 ct.

Rozmowa trzynastu mężatek i jednej wdowy. Cena 6 ct.

Żydowska wojna. Co żydzi narobili strachu dla całego świata. Cena 6 ct.

Historja o cudownej odmianie Księżnej i Szewcowej. Cena 6 ct.

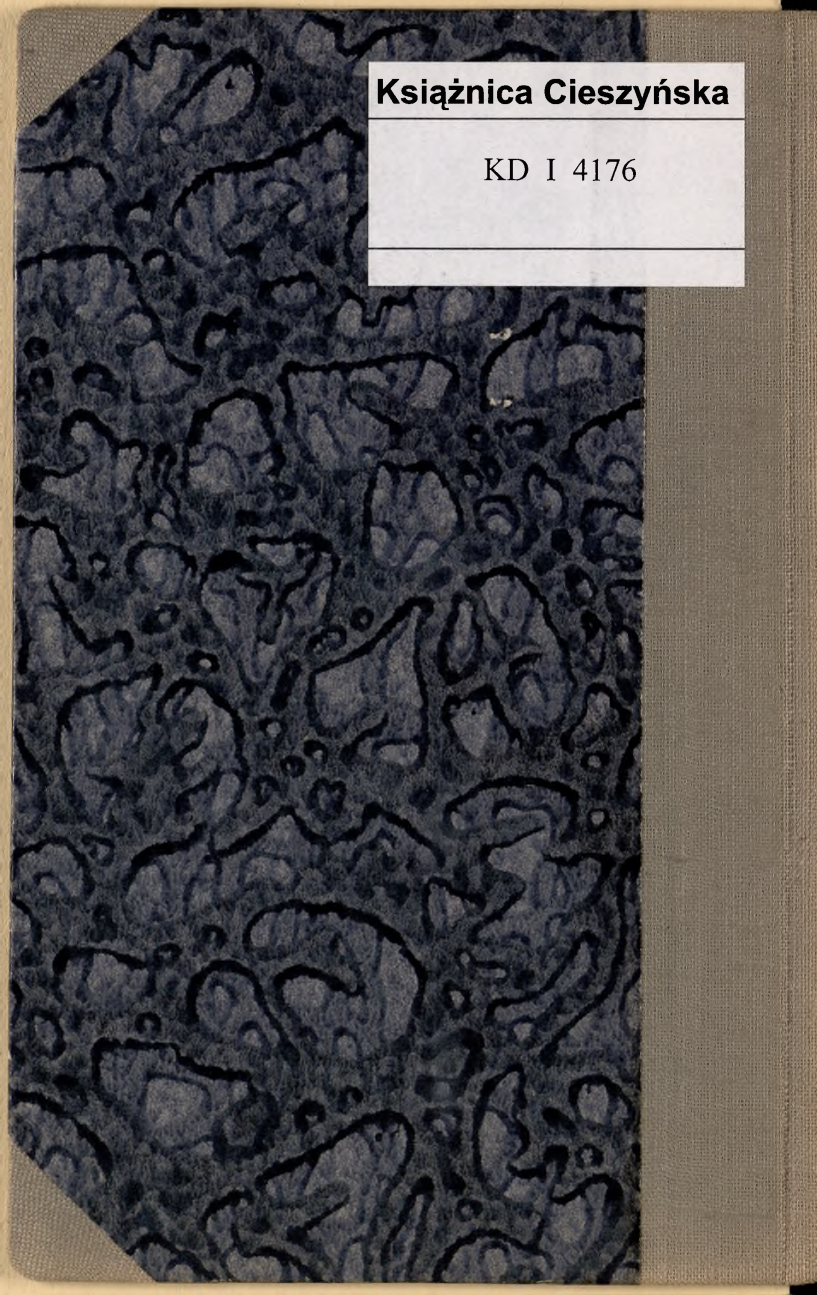
Żyd wieczny tułacz z Jeruzalem, imieniem Ahaswerus. Cena 7 ct.

Dalsze ciekawe dziełka wyjdą wkrótce.

500



DEZ. 2011



Książnica Cieszyńska

KD I 4176